POLISH NEWSPAPER IN USA | Colorado | Arizona | Nevada | New Mexico | Utah | California | Washington

ŻYCIE Kolorado

Denver Metro | Boulder | Colorado Springs | Fort Collins | Dillon | Glenwood Springs

MIESIĘCZNIK POLONII AMERYKAŃSKIEJ W KOLORADO | 720.935.1965 | www.zycie-kolorado.com
WYDANIE **126** | LISTOPAD | NOVEMBER 2020 | WYDANIE BEZPŁATNE - FREE

z cyklu: “Niektórzy lubią się zastanawiać”

Światem zaczęła rządzić jesień...

HANNA CZERNIK

Giuseppe Arcimboldo - “Jesień”- obraz na desce namalowany w 1573 roku, dzisiaj w kolekcji w Luwrze. Malarz manieryzmu, oryginalny i ekscentryczny tworzył portrety i kompozycje figuralne, rodzajowe lub alegoryczne w całości złożone z elementów martwej natury, takich jak owoce, warzywa, liście, drewno, ryby, czy książki.

Topi go w żółci i czerwieni,
a ja tak pragnę, czemu nie wiem,
uciec pociągiem od jesieni…

Co roku, wydaje się, przychodzi ona wcześniej, zanim się obejrzymy mija lato, jakby czas ciągle przyspieszał oddalając się od punktu grawitacyjnego - naszej młodości… Coraz zimniejsze wieczory i poranki, coraz czegoś ubywa w ogrodzie, przyroda coraz wyraźniej szykuje się do zapadnięcia w ciężki zimowy sen. To pora, kiedy Słońce przeszło już Punkt Wagi, miejsce przecięcia się ekliptyki z równikiem niebieskim, a dzień zrównał się z nocą, by jej coraz bardziej ustępować, gdy “ciemności kryją ziemię” co wieczór wcześniej i na dłużej. Od czasów Kopernika i jego następców wiemy oczywiście, że to nie Słońce wędruje sobie przez rok, tylko oś ziemska nachyla się do płaszczyzny ruchu naszej planety w jej rocznym obiegu dookoła tej życiodajnej gwiazdy. My jednak nie możemy oprzeć się wrażeniu, zakodowanemu w nas od pokoleń, że to Ziemia jest centrum, że to Słońce od nas odchodzi na druga półkulę.

ciąd dalszy >> str. 24

Piszą dla Was:

Teren nieogrodzony
Poezja w czasach zarazy
- Eliza Sarnacka-Mahoney >> str. 4

Żyj sportem w Kolorado
- Marcin Żmiejko >> str. 6

Polska Szkoła w Denver
Tyle o sobie wiemy na ile nas sprawdzono
Ola Boczkowska >> str. 7

Polskie sylwetki w Kolorado
Rozmowa z Jadwigą Bielecki i Przemkiem Rupnowskim o wyborach na stanowiska przezydenta i wiceprezydenta Polskiego Klubu w Denver >> str. 8

Pani Book
Dynia niezgody
- Karina Bonowicz | Nowy Jork >> str.10

Legendy polskie
O Juracie, Królowej Bałtyku
- Dorota Badiere >> str. 11

Zapiski (nie tylko) kalifornijskie
Tajemne życie lotniska
- Małgorzata Cup | Los Angeles >> str. 12

Sukces w spódnicy
Alicja w Krainie Czarów
- Marta Dabrowski | Chicago >> str. 14

A to Polska właśnie
Madame Poldowski
- Irene Sturm | Los Angeles >> str. 14

Herbata czy kawa
Wybory
- Waldek Tadla >> str. 15

Fundacja Cancer Fighters
Kolorado dla Cancer Fighters w Polsce
- Kasia Suski >> str. 16

Filmowe rekomendacje Piotra
An answer to the question
- Which did you like better
- the Book or the Film?
- Piotr Gzowski >> str. 18

Polska Parafia w Denver
Na kogo głosować?
- Ks. Stanisław Michałek SCH >> str. 19

Generacja beatników
Bob Dylan. Like a Rolling Stone czyli spadaj mała na łeb na szyję
- Adam Lizakowski | Wrocław >> str. 20

Polskie sylwetki w Kolorado
Master in Piano Performance
- Halina Dąbrowska >> str. 22

Porady prawne z Polski
- Adw. Wojciech Strojek | Warszawa >> str.27

Odkrywając polskie i swojskie
Karczma Starej Stajni w Zawidowicach
- Kasia Suski >> str. 31

DREAM HOMES COME IN ALL SIZES.

WE HAVE MORTGAGES TO FIT THEM ALL.

Discover Westerra home loans and take advantage of banking with a local financial institution that offers 3% down payment options on loans up to $850,000!

Other Westerra Benefits

- **Competitive Rates** and **no origination fee**
- **Full Credit Approval** – not just a prequalification so you are ready to make a winning offer
- **Flexible payment options** – monthly, semi-monthly or bi-weekly schedules
- **Make Your Payments to Westerra** – now and in the future

Mówię po Polsku

Monika will help make the most of your home purchase dollars. She will listen to your needs and personalize a loan that supports your best overall financial health.

CREDIT UNION westerra

Monika Higgins-Szczur
mhiggins@westerracu.com | 303-339-3558
NMLS 501360

Ela Homes
Brokers Guild - Cherry Creek Ltd

Let Us Help You
BUY or SELL
Your Home!

NIERUCHOMOŚCI W COLORADO
Zadzwoń po darmową wycenę i sprawdź jak możesz zaoszczędzić przy kupnie lub sprzedaży domu.

ElaHomes.com
Ela.Sobczak@yahoo.com

ELA SOBCZAK, REALTOR®
303.875.4024 Mówimy po Polsku

"Let my 20+ years experience of helping people buy and sell homes give you peace of mind."

EwaRealty.com

HOMESMART REALTY GROUP
Real Estate Made Easy

EWA SOSNOWSKA BURG
Realtor
303-886-0545
ewa@ewarealty.com

*Działalność w Denver i Okolicach * Pomoc w Uzyskaniu Pożyczki*
Uprzejma, Rzetelna, Profesjonalna Obsługa

CHICAGO MARKET

NAJSMACZNIEJSZY POLSKI SKLEP W KOLORADO

Nie czekaj i posmakuj najwyższej jakości naszych, polskich, naturalnych i najświeższych produktów
Prosto + szybko od producenta na Wasz rodzinny stół

www.chicago-market.com

ALEX'S DELI oferuje najlepsze i najzdrowsze wyroby kiełbasiane i wędliniarskie.
ZAWSZE gwarancja naturalnych smaków bez konserwantów!

15% znizki na zakupy robione w poniedziałki!!!

ALEXANDRA Foods Company
Nasza wyłączność sprzedaży i dystrybucji w stanie Kolorado;
Przepyszne bo robione według domowej receptury:
Pierogi, Uszka, Pyzy, Naleśniki, Kopytka i Kluski

KOVALA BREAD and RACINE Bakery
Najlepszy i najzdrowszy CHLEB
oraz smaczne CIASTA & Maślane KOLACZKI.
Palce lizać!

W każdą sobotę dostawa świeżego towaru z Chicago
Sprzedaż artykułów w tym samym tygodniu co ich produkcja.
WYRÓWNAMY LUB POBIJEMY KAŻDĄ CENĘ TEGO SAMEGO PRODUKTU JAKI JEST NA RYNKU
Jesteśmy agencją firmy POLAMER w Kolorado: Oferujemy przeprowadzki do Polski, innych krajów UE oraz wszystkich Stanów Ameryki: Kontenery, Samochody, Palety, Paczki. Oferujemy wysyłki lotnicze oraz morskie po NAJNIŻSZYCH cenach!!!

ZAPRASZAMY:
1477 Carr St., Lakewood CO 80214
Poniedzialek - Sobota - 10.00 - 18.00
Niedziela - 11.00 - 15.00

KRYSTYNA:
tel. 303-868-5662

WACLAW:
tel. 708-302-7225
viczawadzki@gmail.com

HVAC SERVICE

NEW INSTALLATION OR REPAIR WITH WARRANTY

Furnaces + Air Conditioning
Water Heaters + Humidifiers
RHEEM or any other brand
Licenced & Insured

- New furnace labor and materials start from - $1750
- New A/C 2.0t starts from - $2350
- Water heater 40gal $950, 50gal - $1050

Ogrzewanie & Schładzanie
Zawsze Gwarancja Domowego Komfortu!

PS COOL HEAT

Alex Koushyk
720-285-0145

ŻYCIE Kolorado

Życie Kolorado - mięsiecznik Polonii Amerykańskiej w stanie Kolorado wydawany przez:
MEDIA LITTERA, INC.

www.zycie-kolorado.com
tel.: 720.935.1965
5944 S Monaco Way, Ste. #200
Englewood, CO 80111

- **Waldek Tadla**
  Redaktor Naczelny
  wtadla@msn.com
- **Katarzyna Hypsher**
  Edycja & Skład
  info@zycie-kolorado.com
- **Marcin Żmiejko**
  Marketing
  marketing@zycie-kolorado.com
- **Bogusia Chochołowska-Partyka**
  Dyrektor Kreatywny
  bpartyka@zycie-kolorado.com
- **Kasia Suski**
  Event Director
  kasiacol@gmail.com
- **Kinga Rogalska**
  Social Media Director
  kingarogalska@gmail.com

●

W sprawach artykułów, reklam, itp. prosimy o kontakt na powyższe adresy e-mailowe lub telefon.

WSPÓŁPRACA:

Grzegorz Malanowski

Tomasz Skotnicki,
Polski Klub w Denver,
Polska Parafia pw. św. Józefa w Denver,
Polscy Rycerze Kolumba w Denver,
Polska Szkoła w Denver,
Witold-K, Bożena Janowski, Hanna Czernik,
Kasia Suski, Adam Lizakowski
Dorota Badiere, Piotr Gzowski,
Halina Dąbrowska, Barbara Popielak,
Eliza Sarnacka-Mahoney,
Kazimierz Krawczak,
Brighton-Ziębice Sister Cities,
Małgorzata Cup - Kalifornia,
Irene Sturm - Kalifornia,
Bogumił Horchem - Arizona,
Ania Jordan - Nowy Meksyk,
Monika Schneider - Alaska,
Ryszard Urbaniak - Kalifornia
Karina Bonowicz - Nowy Jork
Marta Dabrowski | Chicago
www.DobraPolskaSzkola.com

●

Nie wszystkie publikowane teksty autorów odzwierciedlają poglądy redakcji ŻK

●

Zgłoszenia REKLAM
przyjmujemy do 20-go dnia każdego miesiąca.

Redakcja ŻK
nie odpowiada za treść reklam
i ogłoszeń.

●

OGŁOSZENIA DROBNE
w gazecie i naszej
stronie internetowej:
www.zycie-kolorado.com
$10 / miesiąc /do 30 słów/
e-mail: info@zycie-kolorado.com

●

PRENUMERATA:
$5 za każde wydanie,
z wysyłką pocztową

Od Redakcji

Mamy wielki zaszczyt oddać w Państwa ręce kolorowo - jesienne wydanie „Życia Kolorado". Tym razem artystycznie inspirują nas Trzy Światy: duchowej idei, narodowej dumy oraz życiowej wdzięczności. W tym wydaniu nie zapominamy również o dwóch bardzo ważnych elekcjach prezydenckich. Tą pierwszą organizują Stany Zjednoczone Ameryki natomiast organizatorem drugiej jest Polski Klub w Denver. Gorąco namawiamy do aktywnego oraz głęboko przemyślanego uczestnictwa w tych jakże ważnych wydarzeniach. Nade wszystko jednak apelujemy do Państwa o przestrzeganie wszelkich norm i zasad bezpieczeństwa związanych z pandemią Covid-19. Dbajmy o siebie, pomagajmy sobie nawzajem w tym jakże trudnym i stresującym czasie.

Świat duchowej idei – 1 listopada, Dzień Wszystkich Świętych - czas zadumy nad tymczasowością ziemskiego życia oraz czas pamięci o Tych, którzy już od nas odeszli. Tą piękną, chrześcijańską tradycję co roku rozświetla ciepły blask - nagrobnych zniczy oraz wielka tęsknota - wrażliwych serc.

Świat narodowej dumy – 11 listopad, Święto Niepodległości – polskie święto obchodzone dla upamiętnienia odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 roku, po 123 latach zaborów. Jednoczymy się pod biało-czerwoną flagą, wpinamy kokardy narodowe i razem, bez względu na różnice poglądów, które wpisane są w istotę demokracji, manifestujemy naszą suwerenność.

Świat życiowej wdzięczności – 26 listopad, Thanksgiving - Dzień Dziękczynienia święto obchodzone w Stanach Zjednoczonych w czwarty czwartek listopada, jako pamiątka pierwszych dożynek mieszkańców kolonii Plymouth w 1621 roku. Za co Ty jesteś wdzięczny? Bo ja najbardziej jestem wdzięczny za Ciebie. Dziękuje Ci, że jesteś w moim życiu i mnie czytasz.

Wypełniony nadzieją patriotycznej mądrości oraz zgody narodowej zapraszam do kolejnej lektury Waszego „Życia Kolorado".

Waldek Tadla
Redaktor Naczelny

***

HAPPY THANKSGIVING!

Nasz miesięcznik

jest projektem współfinansowanym w ramach funduszy polonijnych Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej za pośrednictwem Konsulatu Generalnego RP w Los Angeles

Konsulat Generalny
Rzeczypospolitej Polskiej
w Los Angeles

Zapraszamy Wszystkich którzy pragną wesprzeć nasze pismo na stronę:
www.gofundme.com/jdytvx-zycie-kolorado-2020

Dziękujemy za wsparcie w 2020 roku:

- Michael Wanasz - $1,000
- Tadla & Tadla Real Estate Group - $1,000
- Małgorzata & Janiusz Futuyma - $1,000

Iwona Mazurek, Karina Wardak, Jolanta Lefler, Mariola Stoch, Ania Srebro, Katarzyna Szuta, Kinga Rogalska, Barbara & Roman Popielak, Irene Sturm, Dorota Badiere, Halina Dąbrowska, Teresa & John Czyszczoń, Ksiądz Grzegorz Wójcik, pan Marek

***

DARCZYŃCY 2019:

- Michael Wanasz - $1,000
- Richard & Mila Ziernicki - $1,000
- Małgorzata i Janusz Futuyma - $1,000
- Tadla & Tadla Real Estate Group - $1,000

Wiesław & Zofia Gessner, Polish Heighlandres Club of Colorado Springs, Mira Puszman, Urszula Bunting, Dorota Misztela, Gosia Otteson, Halina Pena, Anna Spencer, Kasia Szuta, Kinga Rogalska, Kinga Zabron, Kasia Suski, Katarzyna Żak & Tomasz Szynakiewicz, Dorota & Tomasz Skotniccy, Jan Białasiewicz & Ewa Wanasz-Białasiewicz, John Czyszczon & Teresa Krasnodebski, Barbara & Roman Popielak, Mary & Jacek Brzeski, Kazimierz Tylicki, Marek Gołkowski, Irena & Andrzej Motas, Paulina & Rafał Cichon, Jolanta Lefler, Krystyna Orłowski, Tomasz Szrek, Zofia & Zbigniew Wysoczańscy, Maria & Józef D.

Wspierajcie naszych Reklamodawców

SKLEPY SPOŻYWCZE

- **European Gourmet:** 303.425.1808, 6624 Wadsworth Blvd, Arvada, CO
- **Chicago Market:** 303.868.5662, 1477 Carr St, Lakewood, CO

TŁUMACZENIA, PODATKI, NOTARY PUBLIC

- **Mira Habina Intl:** 720.331.2477, 8760 Skylark St. Highlands Ranch, CO
- **Agnieszka M Homa:** 303.667.6814, 6422 South Quebec Street Centennial, CO

POŻYCZKI NA NIERUCHOMOŚCI

- **Monika Higgins-Szczur:** 303-339-3558
- **Robert Kozina:** 773.991.3608

AGENCI NIERUCHOMOŚCI

- **Tadla & Tadla Real Estate Group:** 720.935.1965
- **Ewa Sosnowska Burg:** 303.886.0545
- **Joanna Sobczak:** 720.404.0272
- **Ela Sobczak:** 303.875.4024

UBEZPIECZENIA AUTO | DOM

- **Kużbiel Insurance:** 720.351.2066, 930 Sherman Street, Denver, CO

UBEZPIECZENIA MEDYCZNE

- **Damian Matejczuk: 303.900.5861**

USŁUGI RÓŻNE

- **HVAC Heating & Cooling** - PS COOL HEAT, Alex Koushyk, **720-285-0145**
- **PHEONIX Medical Supply - 303.747.7191, 7950 E Mississippi Ave unit D, Denver, CO**
- **AMBER BAND** - 720.882.2265, www.theamberband.com
- **DJ MARCIN KANIA** - 773.310.0175 -DJ z muzyką na każdą okazję

Teren nieogrodzony

Poezja w czasach zarazy

ELIZA SARNACKA-MAHONEY | Fort Collins, CO

Poezja Louise Glück, amerykańskiej poetki uhonorowanej tegoroczną nagrodą Nobla nie jest lektura idealną na tegoroczne jesienne wieczory. To nie Wisława Szymborska, która wystawiając ludzkości surowy rachunek często jednak przemycała grzejące serce promyki nadziei. Mówiła o nas jako o zbiorowości złączonej wspólnymi celami, zalecała chadzać z głową skierowaną ku przyszłości, bo tylko na nią możemy mieć wpływ, wreszcie czerpać siłę z faktu, jak wiele naszych jednostkowych doświadczeń jest w istocie doświadczeniem zbiorowym, a więc wzmacniającym.

> Louise Glück, poetka, która rozpoczynała karierę w silnym nurcie konfesyjnym pozostała piewczynią samotności i wyobcowania, jako jedynej uczciwej metody opisu ludzkiej kondycji bez względu na to, jak nasze doświadczenia i emocje mogą być zbliżone do doświadczeń i emocji innych. Przy tym - brutalną wręcz apologetką wyznania, że raz otwartych ran nigdy zagoić się nie da. Połączenie między ludźmi, jeśli się pojawia, jest płytkie i gotowe rwać się jak pajęczyna, i wynika wyłącznie z faktu, że funkcjonujemy w tym samym świecie zewnętrznym, choć nasza interpretacja rozmaitych jego aspektów i ich wpływ na nas pozostają skrajnie różne. Ktoś więc, kto chciałby szukać w poezji Glück otuchy na dzisiejsze trudne czasy, znaków, że mimo wszystko więcej nas łączy, niż dzieli, a pewne wartości są dla wszystkich absolutne, zawiedzie się mocno, jeśli w ogóle nie popadnie w depresję.

Daleka jestem od twierdzenia, że kapitułę noblowską, jak wielu z nas w czasach pandemii dopadło skrajne zwątpienie. Ze nokautowana być może drugą, huraganową falą choroby po prostu straciła (chwilowo?) wiarę i przyszłość, i w człowieka, i dała temu wyraz nagradzając poetkę, u której czara goryczy przelewa się niemal w każdym wierszu, a życie w każdym momencie i na każdym kroku jest albo ledwie do zniesienia, albo nie do zniesienia wcale. Decyzję szanowna kapituła mogła nawet uzasadnić własnymi słowami Glück: … because in truth / I am speaking now/the way you do. I speak / because I am shattered (pl:…bo szczerze mówiąc / przemawiam teraz / tak jak ty. Mówię / bo się całkowicie rozsypałam, przekł. ESM, Red Poppy/Czerwony mak, 1991 r.)

Daleka też jestem od twierdzenia, że dwadzieścia lat temu zapisując się na warsztaty z poezji do W.S. di Piero – innego uznanego amerykańskiego poety i profesora na uniwersytecie Stanforda – stanęłam oko w oko z prawdziwym prorokiem.

Po kilku pierwszych zajęciach, na których czytaliśmy głównie własne wiersze, dostaliśmy za zadanie przedstawić klasie wybrany utwór ze sztambucha współczesnej poezji amerykańskiej, który uważamy za godny przełożenia na inny język. Język, którym dodatkowo władamy, albo na nasz macierzysty, jeśli angielski nim nie jest. I oczywiście uzasadnić wybór. Siedząca obok mnie Węgierka przyniosła wiersz Louise Glück właśnie. Był nim „Grandmother in the Garden" (1967, pl.: Babcia w ogrodzie). Wyjaśniła, że Glück ma węgierskie korzenie, to po pierwsze, po drugie zaś, że odnajduje w wierszu ważne przesłanie dla siebie jako emigrantki. Stwierdzenie: „I have survived my life" (pl.: Udało mi się przeżyć moje życie) to jej własne kredo na życie w obcym kraju. Dlaczego? Bo nie ma początku od uznania końca, stwierdziła. Ale nie ma też końca dopóki życie trwa. Zgoda na to, co nam podsuwa w danym momencie, świadomy wysiłek, by dostrzegać wartość i sens we wszystkim co nas otacza, w zwykłych, codziennych rzeczach nie wartych może nawet na pierwszy rzut oka celebracji, to warunki dalszego trwania i ostatecznie przetrwania.

Czas

Zawsze było za dużo, potem za mało.
Dzieciństwo, choroba.
Obok łóżka miałam dzwonek –
po drugiej stronie dzwonka była matka.

[…]

Byłam dzieckiem, żyjąc jakby w półśnie.
Byłam chora; otoczona opieką.
I żyłam w świecie ducha,
w świecie szarego deszczu,
zagubionym, zapamiętanym.

I nagle pojawiło się słońce.
Poruszył się czas, choć niewiele go już pozostało.
I to co przeżywane stawało się zapamiętywanym,
a zapamiętywane przeżywanym.

Wiersz ukazał się w antologii poetek amerykańskich „Dzikie brzoskwinie", Wydawnictwo Sic!, 2003, w przekładzie Julii Hartwig

Grafika na podstawie zdjęcia Louise Glück, 2014 autorstwa Williams'a College źródło: www.wiez.com.pl

- Louise dostanie kiedyś Nobla. Wiem to – odpowiedział jej profesor di Piero.

Nie pamiętam już czyśmy się gremialnie roześmiali, czy na odwrót, przyjęli to proroctwo z najwyższą powagą. Pamiętam, że po zajęciach węgierska poetka zaprosiła mnie do siebie na kawę. Mieszkała na obrzeżach kampusu, więc poszłyśmy piechotą. Nie pamiętam już dziś jej twarzy, ale pamiętam niebieski stół i kawiarkę na maleńkiej, gazowej kuchence. Było to moje pierwsze zetknięcie z tym kuchennym gadżetem i jedna z najlepszych kaw, jakie piłam w życiu. Pamiętam też doskonale, że choć był październik pogoda dokuczała i zdumiewała jednocześnie. Trawiła nas niemiłosiernym wprost upałem, dla osoby świeżo transplantowanej z Europy, jaką wtedy byłam, rzecz niebywała jak na tę porę roku. Moja węgierska koleżanka, która w USA mieszkała od kilku lat przyznała, że też brakuje jej europejskich w stylu pór roku, ale o wiele bardziej brakuje jej … babci. Przed emigracją mieszkała w domu wielopokoleniowym, jak większość jej znajomych zresztą. Nie doceniała tego faktu, dopiero po przyjeździe do Ameryki zrozumiała, jak niebywałą wartością społeczną są takie rodziny, zwłaszcza dla ludzi młodych w okresie, gdy człowiek zaczyna nawigować samodzielnie przez świat i potykać się o elementy, które nie wzbudzają w nim zachwytu, a nierzadko prowokują uzasadniony bunt.

> - Starsi ludzie mają tę cudowną siłę przekonać cię, że życie będzie toczyć się dalej – powiedziała – Świat będzie toczyć się dalej, ty sam(a) będziesz żył(a) dalej, żeby nie wiem jaki spotkał cię niefart czy niesprawiedliwość.
> I są w tym wiarygodni.
> W pewnym wieku każdy człowiek ma przecież za sobą jakieś znaczące nieszczęście, które go dotknęło jako jednostkę, jako część grupy. On najbardziej ze wszystkich ma prawo powiedzieć reszcie, że wie, bo przecierpiał, wie, bo doświadczył. Stąd też wie, że dalsza droga mimo wszystko istnieje.

Za moim oknem niebywale upalny październik, chyba pierwszy taki odkąd mieszkam w Kolorado. Kolejna „niebywałość" na wciąż rosnącej liście tegorocznych niebywałości. Niebywały, a raczej niebywale smutny jest fakt, jak wiele osób wokół mnie, zwłaszcza młodych, popada w coraz większą rozpacz na tle przyszłości, szczerze niezdolna wyobrazić sobie świata za dwa, trzy miesiące.

Nie miałam, wzrastając, babci na wyciągnięcie ręki. Może dlatego zajęło mi mnóstwo lat, w tym już własnego rodzicielstwa, by dopuścić do siebie myśl, że choć nie mam na niektóre rzeczy wpływu, nie znaczy to, że muszą mnie zabić i nie uda mi się przejść na drugą stronę, nawet jeśli nie do końca suchą stopą. Powtarzam to moim córkom. Z różnym skutkiem. Nie mogę jednak opędzić się od myśli, że to właśnie w tym aspekcie naszego społecznego życia, przynajmniej po części, jest dziś, w środku pandemii, i był już od dawna, pies pogrzebany. Amerykanie od co najmniej od dwóch pokoleń niemal programowo izolują się od swojej starszyzny, nie lubią słuchać przeszłości, a co dopiero się od niej uczyć. Wolą celebryckich oszołomów, kompletnych żółtodziobów jeśli chodzi o życiowe doświadczenie, kompletne porażki jeśli chodzi o wiarygodność, więc i moc udzielania mądrych rad oraz wsparcia w trudnych chwilach.

Zostawiam państwa z tymi refleksjami i z nadzieją, że jakoś potraficie w natłoku męczących cudów i dziwów, niebywałości tego roku odnajdować spokój, a nawet czas na poezję. Do lektury poezji tegorocznej noblistki zachęcam nie mniej jednak. W tym tkwi geniusz poezji, że każda jej interpretacja i każda sprokurowana przez nią emocja mają równe prawa bytu i głosu. Szanse na to, że właśnie dzisiaj nabierze nowego znaczenia są całkiem duże. Może to prawda, że raz otwarte rany nigdy do końca nie znikną, ale prawdą jest i to, że prócz tych ran mamy w życiu szansę na dużo więcej. Przecież oprócz destrukcji równolegle i nieustannie odbywają się wokół nas akty tworzenia, a niekiedy nawet zupełnie nieoczekiwanych narodzin.

Przychodzimy, odchodzimy...

Odeszła Krystyna Orłowska

Sybiraczka, wieloletnia członkini Polonii w Denver

Katarzyna Hypsher

4 października bieżącego roku odeszła pani Krystyna Orłowska, Sybiraczka, wieloletnia członkini polskiej społeczności w Denver.

Jej młodość była naznaczona brutalnością II wojny światowej. Krystyna Orłowska, z domu Karwowska urodziła się w 1927 roku w Wilnie. Po wkroczeniu do miasta wojsk sowieckich cała Jej rodzina była wyrzucona z mieszkania a ojciec został aresztowany. W czerwcu 1941 roku wraz z matką została zesłana na Syberię. Swoje losy wojenne opisała na łamach Życia Kolorado w 2011 roku. (Będziemy je ponownie publikować poczynając od tego wydania).

W 1956 roku pani Orłowska zamieszkała w Nowym Jorku, gdzie pracowała w Radio Wolna Europa i w Nowym Dzienniku. W 1966 roku zmarł jej mąż i została sama z trójką dzieci: dwoma synami: Jackiem i Adamem i córką Ewą. W Denver mieszkała od 1999 roku.

Panią Krystynę poznałam w 2010 roku, kiedy mieszkała z Ewą w ich mieszkaniu przy Monaco & Yale w Denver. Wtedy już nie żył jej pierwszy syn - Jacek, zmarły w 2000 roku. W tym samym budynku mieszkał jej drugi syn Adam, przykuty do łóżka ciężką chorobą. Pani Krystyna wraz z córką Ewą z wielkim oddaniem opiekowały się nim do jego śmierci w 2018 roku.

Pani Krystyna - Sybiraczka. Kobieta dotkliwie doświadczona przez los, zawsze była niezwykle pogodna i lubiła żartować. Nigdy nie skarżyła się na swoje życie. Przy okazji prywatnych spotkań, z okazji świąt Bożego Narodzenia czy Nowego Roku z panią Krystyną i jej córką Ewą, zawsze wracała do wspomnień z syberyjskiej zsyłki. Te doświadczenia ukształtowały ją na zawsze.

Pani Orłowska miała wiele zainteresowań i dużo czytała. Przede wszystkim historia, polityka w Polsce i w USA. Lubiła też literaturę i malarstwo. W jej mieszkaniu widziałam kilka obrazów jej autorstwa - kwiaty i martwe natury. Spędzony z Nią czas za każdym razem był dla mnie specjalnym przeżyciem, lekcją pokory życiowej i wielką inspiracją.

Była wieloletnim członkiem Polskiego Klubu w Denver, uczestniczyła w zebraniach członków, na które regularnie dowoził ją Piotr Gzowski. Pomimo wieku i schorowania była aktywna w polonijnej społeczności, w 2018 roku (wraz z nieżyjącą panią Józefą Nowicką) odwiedziła Polską Szkołę w Denver gdzie opowiadała dzieciom o swoich losach wojennych.

Krystyna Orłowska - spotkanie z uczniami Polskiej Szkoły w Denver, kwiecień 2018 rok
Fot: Barbara Stopyra

Krystyna Orłowska - odznaczenie Krzyżem Zesłańców Sybiru, Polski Klub w Denver, 13 listopada 2013 rok. Także zdjęcia w 1-szej kolumnie.
Fot: Jadwiga Bielecki

W 2013 roku pani Orłowska została odznaczona Krzyżem Zesłańców Sybiru. Dekoracji dokonał pan Tomasz Skotnicki - Konsul Honorowy RP w Kolorado, a uroczystość ta odbyła się w Polskim Klubie w Denver.

W ostatnim e-mailu do mnie Konsul Tomasz Skotnicki napisał:

Smutno, ale zamyka się era Ludzi Wielkich Duchem, których los okrutnie doświadczył, a Oni musieli przejść przez okrutne czasy z podniesioną głową. Obyśmy potrafili czerpać z ich doświadczeń i nie popełniali błędu nienawiści do bliźniego swego.

Paniom: Ewie Orlowski - córce, oraz Nancy Orlowski - wnuczce, składamy najszczersze wyrazy współczucia.

Cześć Jej pamięci.
Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.

Wiadomości sportowe

Żyj sportem w Kolorado

MARCIN ŻMIEJKO

Październik okazał się wspaniałym miesiącem dla polskiego sportu, w końcu Polka wygrała turniej wielkoszlemowy, Polak został najlepszym piłkarzem UEFA a kolejny Polak został indywidualnym mistrzem świata na żużlu.

WSPANIAŁY TURNIEJ IGI ŚWIĄTEK

Przez Covid-19 tenisowy turniej French Open został rozegrany w październiku, a nie tak jak to bywało tradycyjnie w maju. Polska nie należy do potentatów w tenisie, szczególnie kiedy karierę zakończyła Agnieszka Radwańska a z kortów zniknął Jerzy Janowicz. W otwartym polu pozostali nam Iga Świątek oraz Hubert Hurkacz. W kategorii mężczyzn Hurkacz za bardzo nie powalczył, ale z to w turnieju kobiet **Iga Świątek** zgarnęła główną nagrodę. W finale pokonała amerykankę Sofię Kenin – światową czwórkę i zwyciężczynię Australian Open. Finał nie był długi a nasza zawodniczka wygrała w obu setach 6:4 i 6:1 i jej przewaga nawet na moment nie podlegała dyskusji. Dodatkowo 19-letnia warszawianka w grze deblowej odpadła dopiero w półfinale. Na chwilę obecną Iga jest sklasyfikowana na 17-tym miejscu rankingu ATP a to oznacza, że nie będzie musiała przechodzić przez szczeble eliminacyjne w turniejach wielkoszlemowych. Narodziła się gwiazda światowego tenisa.

BŁACHOWICZ Z PASEM UFC

Dana White stworzył prężnie działającą maszynę działającą pod szyldem UFC, do tego na czas pandemii usadowił się w Abu Zabi na tak zwanej wyspie walki. Właśnie tam swoją szansę dostał i wykorzystał **Cieszyński Książę - Jan Błachowicz.** Nasz rodak bezapelacyjnie wygrał przez nokaut techniczny z Amerykaninem Dominickiem Reyesem. Polak dostał szansę na walkę o tytuł po tym jak poprzedni mistrz – Jon Jones zwolnił pas i postanowił spróbować szans w wyższej wadze. Błachowicz wskoczył do oktagonu i wyszedł z niego jako mistrz. Brawo!

LEWY NAJLEPSZY

France Football nie przyzna w tym roku tytułu piłkarza roku – a powinien to zrobić. **Zupełnie inaczej postąpiła UEFA i wybrała najlepszym piłkarzem 2020 Roberta Lewandowskiego.** Polak wygrał wszystko co mógł – Champions League, Mistrzostwo oraz Puchar Niemiec. Innej opcji być nie mogło i Lewy został najlepszym piłkarzem oraz napastnikiem. Ciekawostką jest to, że kapitan biało-czerwonych zgromadził 477 punktów a drugi w klasyfikacji, Kevin de Bruyne tylko 90 punktów. Pomimo tego, że ranking UEFA nie jest tak prestiżowy jak klasyfikacja France Football, jednak tradycyjnie to właśnie zwycięzca FF zdobywa tytuł piłkarza UEFA.

POLSCY PIŁKARZE NA FALI

Po porażce z Holandią oraz po zwycięstwie nad Bośnią-Hercegowiną reprezentacja Polski dostała się pod rynnę krytyki ze strony rodzimych dziennikarzy. W październiku ta sytuacja się odwróciła, bowiem towarzyskie zwycięstwo 5:1 z Finlandią, remis w Lidze Narodów 0:0 z Włochami oraz zwycięstwo 3:0 z Bośnią-Hercegowiną w tejże Lidze nieco uspokoiło co bardziej nerwowych kibiców nad Wisłą. Z bardzo dobrej strony pokazał się **Kamil Grosicki**, który „wtoczył" Finom trzy bramki. Polskie media rozpisują się nad „wspaniałym" meczem z Włochami, który był bardzo ciężki do oglądania i gdyby Włosi strzelili nam 3 bramki – nikt nie powinien być urażony. W ostatnim meczu z Bośnią-Hercegowiną ponownie błysnął Robert Lewandowski – zdobywca dwóch bramek.

POWTÓRZYŁ ZWYCIĘSTWO

W październiku ponownie przypomniał się sportowiec roku 2019, **Bartosz Zmarzlik** i ponownie jak w roku ubiegłym został złotym medalistą mistrzostw świata w rajdach żużlowych indywidualnie oraz srebrnym w klasyfikacji drużynowej. Tym samym Zmarzlik stał się trzecim żużlowcem w historii cyklu Grand Prix – po Tonym Rickardssonie i Nickim Pedersenie, i 10. w historii indywidualnych mistrzostw świata który obronił ten tytuł. Zanosi się twarda walka o tytuł sportowca roku 2020.

POWRÓT KRYSZAŁA

Paweł Kryszałowicz był bardzo ważną częścią drużyny Jerzego Engela na początku XXI wieku. Zawodnik, wówczas Amiki Wronki strzelał bramki niemal na zawołanie i w rezultacie trafił do reprezentacji Polski, później do Eintrachtu Frankfurt. Karierę zrobił taką sobie i 2007-mym roku zakończył karierę w polskiej ekstraklasie. W roku 2018 u byłego już piłkarza wykryto raka jelita grubego. Kryszał pokonał nowotwór i w 2020 roku postanowił wrócić na boisko Gryfa Słupsk, którego jest wychowankiem. 46-latek jest wiceprezesem słupskiego klubu i trene-rem drużyny rezerw, więc kiedy zabrakło mu zawodników, sam wskoczył w strój i wybiegł na boisko.

R E K L A M A

Polska Szkoła w Denver

“Tyle o sobie wiemy na ile nas sprawdzono”

OLA BOCZKOWSKA

Nie sposób nie zauważyć jak bardzo te wnikliwe słowa sławnej poetki są aktualne w dzisiejszej, trudnej rzeczywistości, w której przyszło nam żyć, pracować, uczyć i wychowywać dzieci. Słowa Wisławy Szymborskiej stały się niejako definicją człowieczeństwa. Początkowo zadziwiają nas swoją przemyślnością i błyskotliwością, aby po chwili wywołać w nas pewnego rodzaju niepokój o nas samych. Bo zdanie to uzmysławia nam, że w ogóle nic o sobie nie wiemy. Tylko w obliczu pewnych trudnych doświadczeń możemy się sprawdzić. A takich doświadczeń ostatnio nam nie brakuje, gdyż żyjemy w bardzo spolaryzowanym świecie zarówno politycznie, światopoglądowo, jak i mentalnie, a na dodatek walczymy z niewidocznym wirusem oraz bardzo widocznymi żywiołami.

Nasze człowieczeństwo wystawione jest nieustannie na próbę, nasze życie wywrócone wielokrotnie do góry brzuchem. Nasuwa się pytanie: Czy damy radę jako gatunek ludzki ocalić nasze człowieczeństwo czy grozi nam totalny upadek? Śledząc to, o czym mowa w mediach zmuszeni jesteśmy do raczej pesymistycznych wizji. Zewsząd otoczeni jesteśmy przykładami na to, że “człowiek jest człowiekowi wilkiem” i że historia lubi się powtarzać i że niczego się nie uczymy z błędów przeszłości. Z tej perspektywy trudno zachować optymizm, pogodę ducha i wiarę w lepsze jutro.

Moim osobistym pomysłem na to by jednak z wiarą patrzeć w przyszłość jest celebrowanie małych sukcesów. Takim na przykład sukcesem jest to, że pomimo wszelkich przeciwności nasza cudowna, wspaniała Polska Szkoła przy parafii Św. Józefa działa prężnie i ma się dobrze. Niezależnie czy uda się nam utrzymać zajęcia w budynku czy zmuszeni będziemy przenieść je online, to wierzę, że uda nam się nie tylko przetrwać, ale pogłębić nasze więzy jako wspólnota i to za zasługą wspaniałych ludzi: rodziców, nauczycieli, przyjaciół szkoły, a przede wszystkim wspaniałych uczniów.

Niedawno, na mojej Fejsbukowej stronie pojawiło się zdjęcie - wspomnienie sprzed trzech lat, które zamieszczone jest powyżej. Trzy lata temu zaczęła się moja przygoda jako nauczyciela w Polskiej Szkole w Denver. Patrząc na zdjęcie moich kochanych Szkrabów, które mam zaszczyt uczyć mowy ich drugiej, odziedziczonej Ojczyzny, i widząc jak pięknymi ludźmi się stają, czuję się szczęśliwa i pełna nadziei w przyszłość naszego gatunku. Co więcej, mam nieodparte wrażenie, że na ile dzieci uczą się ode mnie na tyle ja i inni dorośli mogą, a wręcz powinni uczyć się od młodego pokolenia.

Zatem uczmy się od naszych pociech otwartości, przenikliwości, umiejętności adaptacji. Zarażajmy się ich entuzjazmem i niespożytą energią, odnajdźmy w sobie dziecięcą duszę, a świat wyda nam się lepszy.

REKLAMA

FLEXIBLE HEALTH COVERAGE | UBEZPIECZENIA ZDROWOTNE

Medyczne | MEDICAL
Dentystyczne | DENTAL
Optyczne | VISION

DAMIAN MATEJCZUK
Licencjonowany Agent & Doradca
303.900.5861

RODZINY
OSOBY PRYWATNE
SAMOZATRUDNIENI
WŁAŚCICIELE BIZNESÓW

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ
- BEZPLATNE KONSULTACJE

CO, FL, GA, IL, IN, KS, MI, NC, NV, OH, OK, SC, TX, VA, WI

Polskie sylwetki w Kolorado

Z Jadwigą Bielecki i Przemkiem Rupnowskim

rozmawiamy o wyborach na stanowiska przezydenta i wiceprezydenta Polskiego Klubu w Denver

Jadwiga Bilecki
- kandydatka na stanowisko przezydenta Polskiego Klubu w Denver.

Pyta: Kasia Hypsher

Kasia Hypsher: Funkcja prezydenta takiej instytucji jak Polski Klub w Denver to wcale niełatwa sprawa. Dlaczego uważasz, że jesteś dobrym kandydatem na to stanowisko?

Jadwiga Bielecki - Według Konstytucji Polskiego Klubu w Denver obowiązki Prezydenta to: (przytaczam w wersji angielskiej, nie wiem, czy istnieje tłumaczenia na polski – a, powinniśmy to docelowo zrobić!):

a) Observe and uphold the Constitution, By-Laws, and Standing Rules of the Polish Club.

b) Preside over all meetings of the Executive Board and of the general membership.

c) Make appointments to all committees except those elected by members.

d) At the president's discretion, may be a member of all committees except those elected by the members.

e) Sign all documents pertaining to the business and property ownership of the Polish Club, including, but not limited to, Service and Purchase Contracts, checks for disbursement of organization's funds.

f) Perform all other responsibilities that may be normal to the office plus other responsibilities as authorized by the Polish Club Members.

g) Co-signs all checks with Treasurer.

To lista stanowi wymagające ramy obowiązków prezydenta, ale dla mnie, to jeszcze coś więcej i przede wszystkim: prezydent powinien sprawować pieczę nad niezmiennie pozytywną międzyludzką atmosferą w Klubie. W ostatnim czasie mieliśmy do czynienia z mało miłymi zachowaniami, lecz nie jest to miejsce ani czas, aby to przywoływać głównie dlatego, że zależy mi na zupełnie innym wizerunku tej instytucji. Nie wyobrażam sobie, aby takie sytuacje miały miejsce za mojej kadencji ani też nie słyszałam o podobnych przypadkach z przeszłości. Wierzę, że osoba – docelowo prezydent(ka), który dostał(a) mandat zaufania od głosujących członków powinna być w stanie umiejętnie łagodzić napięte sytuacje między członkami, a w żadnym razie nie wyzwalać agresywnego zachowania tudzież sam(a) takie stosować. Czasami zapominamy o tym, do jakich funkcji nas powołano.

Prezydent powinien być katalizatorem społeczności polonijnej i być obiektywny. Sposób zawsze były, są i będą, ale w Polskim Klubie w Denver musimy nauczyć się wzajemnego szacunku, zwłaszcza w momencie konfliktu. Wracając do mojej głównej myśli – to jest nasz POLSKI DOM W KOLORADO, nikt nie chce mieć domu, w którym nie ma poczucia oazy, wsparcia, zrozumienia i zdrowej współpracy – ważne jest, aby przyjrzeć się Polskiemu Klubowi w Denver jaki jest dzisiaj, jaki był kiedyś i jaki może być w przyszłości. Ja patrzę w przyszłość.

KH: Jaka jest Twoja wizja Polskiego Klubu w Denver, gdy będziesz jego prezydentem?

JB: Przede wszystkim - przestrzeganie – czyli naprawdę - sumienne respektowanie KONSTYTUCJI PKD, BY-LAWS, ROBERT'S RULES OF ORDERS, STANDING RULES. To są fundamenty postawione przez ludzi, którzy z sercem i w pocie czoła ten Klub zbudowali w dwudziestym wieku! To byli pionierzy na naszym terenie, ich trud i wkład dzisiaj spadł nam jak manna z nieba! Musimy to szanować i rozwijać we właściwym kierunku! My, żyjąc w dwudziestym pierwszym wieku nie możemy manipulować tymi przepisami, chyba że jest to uzasadnione dla dobra PKD i przede wszystkim zaakceptowane przez członków Klubu.

Zależy mi, aby prowadzić transparentną informację dotyczącą spraw finansowych Klubu, czyli wydatków, przychodów i dochodów. Członkowie Polskiego Klubu w Denver są jego prawowitymi właścicielami – jest to dobro wspólne, o które trzeba dbać w sposób otwarty. Zatem ludzie zaangażowani w zarządzie muszą być uczciwi i widzieć sens tej polonijnej misji. To jest sprawa teraźniejszości i przyszłych pokoleń. Nie można tego zaprzepaścić! Na to trzeba pracować. Dlatego wierzę, że prezydent Klubu to osoba, która jest mądrym koordynatorem i ma bardzo przezroczyste intencje i co najważniejsze – ma w zarządzie ludzi, którzy myślą tak samo – uczciwie.

Ale samemu nie można nic zbudować skupiając się na sobie i wyłącznie swojej chwale! Tutaj chodzi o NASZYCH LUDZI – O NASZE TALENTY! Co się stało z kreatywnymi ludźmi, którzy udzielali się w Klubie w przeszłości? Znam wielu ludzi gotowych, żeby się zaangażować, z chęcią poświęcić swój czas. Chcę, aby Polacy, którzy dawniej chętnie działali artystycznie w Polskim Klubie w Denver – wrócili! Co się dzieje? Zniknęli! Gdzie oni są?! Bardzo mi zależy, aby tych ludzi a także nowych przyciągnąć do Klubu, nie dla mojej osobistej chwały, ale dla nas wszystkich, bo to buduje poczucie więzi i sensu tej instytucji.

Rola prezydenta PKD to nie stanowisko na świeczniku – to jest praca społeczna i w dodatku mozolna, ale musi być oparta na zaufaniu i pasji naszej polskiej wspólnoty. A pasja jest w ludziach. Bo jak ludzie widzą sens wspólnoty to myślę, że każdy się zaangażuje. Ja sama tego nie zrobię – wierzę, że ludzie się zaangażują.

Przemek Rupnowski i Jadwiga Bielecki - sobotnia kawa w Morrison, październik 2020 rok | FOT: Życie Kolorado

KH – Co na koniec?

JB – Wydaje mi się, że my na obczyźnie jesteśmy bardziej wrażliwi na ludzkie zachowania. Co obserwuję w Klubie dzisiaj, to że ludzie w zarządzie nie chcą innych wysłuchać, na siłę narzucają niezrozumiałe dla większości wizje i to powoduje mentalny bałagan i ogólny chaos. Mój pomysł to: Chcę słuchać co ludzie mają do powiedzenia i czego chcą - może czegoś więcej się od NICH nauczę!

KH - Dziękuję Jadziu - życzę Ci samych sukcesów!

Polskie sylwetki w Kolorado

Przemek Rupnowski - kandydat na stanowisko wiceprzezydenta Polskiego Klubu w Denver:

Pyta: Marcin Żmiejko

Marcin Żmiejko - Skąd pochodzisz i jak długo mieszkasz w Denver?

Przemek Rupnowski - Pochodzę z Wrocławia, tam się urodziłem, wychowałem i studiowałem. Do Denver przyjechałem w ostatni dzień 2000 roku jako doktorant zaczynający studia na Denver University na kierunku materiałoznawstwo. Po obronie doktoratu znalazłem pracę w Golden, CO w laboratorium zajmującym się odnawialnymi źródłami energii. Tam pracuję do dzisiaj prowadząc projekty badawcze o budżecie sięgającym kilkuset tysięcy dolarów na rok. Po tym jak skończą się wirusowe restrykcje gorąco wszystkich zapraszam do odwiedzenia laboratorium: proszę do mnie napisać: peter.rupnowski@nrel.gov.

MŻ - Dlaczego chcesz być wiceprezesem Polskiego Klubu w Denver?

Kandyduję na stanowisko wiceprezesa PKD, gdyż tak jak większość członków, chciałbym, aby Klub był organizacją, gdzie przestrzega się klubowe i stanowe prawa, gdzie demokratyczne zasady opisane w klubowej konstytucji są przestrzegane, a nie ignorowane, i gdzie działa się z pełnym poszanowaniem praw przysługującym członkom. Aktualnie w Klubie panuje totalitarna tyrania. Na papierze to członkowie są suwerenem. W rzeczywistości jednak mamy grupę ludzi, która dokonała wrogiego przejęcia Klubu i bez autoryzacji i bez legitymacji pochodzącej od członków udają, że są klubowym zarządem wydając klubowe pieniądze i marnując ogromny potencjał Polonii w Kolorado. To wszystko ja i Jadwiga będziemy umieli zmienić.

MŻ - Klub Polski to spuścizna organizacyjna i kulturowa po pokoleniach Polaków, którzy go założyli z zamiarem utrzymania jedności i współpracy pomiędzy Polakami w Kolorado. Jak zamierzasz zadbać o to, żeby atmosfera w Klubie była przejrzysta i wszystkie problemy były rozwiązywane w sposób pragmatyczny?

PR - Recepta na istniejące problemy w klubie jest wbrew pozorom bardzo prosta. Według mnie 99% problemów zniknie, gdy zaczniemy przestrzegać obowiązujących w Klubie praw. Te zasady zapisane w konstytucji i regulaminie to demokratyczny fundament naszego Klubu. Przestrzegane tych regulacji to konieczność, a nie opcja, gdyż bez tej organizacyjnej podstawy nie będzie praworządności. To dokładnie tego chcieli Ci, którzy Klub formowali tak pisząc w preambule do klubowej konstytucji uchwalonej w 2000 roku. *„Konstytucja i Regulaminy (ułożone i zatwierdzone przez członków Klubu) są podstawą do prowadzenia działalności Klubu, ponieważ definiują prawa i obowiązki każdego członka, ochronę praw członkowskich, wskazują sposób selekcjonowania i wyboru członków zarządu, określają zakres obowiązków zarządu oraz działalności jego sekcji. Prosimy posługujcie się Konstytucją i Regulaminami Klubu na zebraniach.”* W taki właśnie sposób ja rozumiem tą spuściznę organizacyjną podarowaną nam przez pokolenia Polaków.

Jeśli zostaniemy z Jadwigą wybrani, to najważniejsze dla nas będzie dochowanie składanego członkom przyrzeczenia, które brzmi: *I,* (name) *duly elected by the membership as* (...) *of the Polish Club of Denver for the year* (...), *do solemnly pledge that I shall fulfill my responsibilities and obligations in accordance with the Polish Club Constitution and By-laws, to the best of my ability, so help me God.*

W praktyce to oznacza, że zagwarantujemy, że Klub to będzie organizacja, w której suwerenem są członkowie, gdzie przestrzega się zasad klubowych, gdzie zebrania prowadzone są według RRR (co nakazuje konstytucja), gdzie zarząd pochodzi z wyborów i wypełnia, a nie ignoruje, swoje obowiązki powiernicze (*duty of care, duty of loyalty and duty of obedience*).

W przeciwieństwie do tego co teraz się dzieje, budynek Klubu nie będzie zamykany przed swoimi członkami, nie będzie wzywana policja, aby członków z ich Klubu wyrzucać.

Współpracę i jedność będziemy budować na wiele sposobów. Np. nauczymy każdego chętnego jak zgodnie z RRR składać i dyskutować nad wnioskami, tak aby członkowie bezpośrednio wpływali i kształtowali to w jaki sposób wypełniana jest misja Klubu. Nasz zarząd będzie składał się z 12 osób wybranych przez członków, tak jak nakazuje klubowa konstytucja. Na zebraniach zarządu będą oni składać wnioski i głosować, a protokoły z tych zebrań będą dostępne członkom. Dzięki temu żadna wąsko myśląca junta nie będzie mogła odebrać członkom ich Klubu. Dodatkowo, dla pełnej przejrzystości zapewnimy, że każdy będzie mógł przeglądać wszystkie dokumenty klubowe. Jestem przekonany, że takie działania oczyszczą atmosferę i spowodują, że z naszego Klubu znowu będziemy dumni.

MŻ - W czasie pandemii to nie musi być priorytet, ale czy jesteś na bieżąco w temacie inicjatyw polskich i polonijnych, szczególnie takich jak kontakty z konsulatem w LA oraz organizacjami zarządzającymi wizytami polskich osobowości naukowych i kulturalnych na terenie USA?

PR - Klub jest ważnym ośrodkiem skupiającym Polonię i corocznie wspiera konsulat na przykład w procesie składania aplikacji paszportowych. To duże ułatwienie dla Polaków mieszkających w Kolorado i takie działania będą dla mnie i Jadwigi bardzo ważne. Według mnie do ludzi ze świata nauki najłatwiej kierować się bezpośrednio. Mam w tym środowisku dużo znajomych. Natomiast sprawami osób ze świata kultury zajmować się będzie głównie wybrany przez członków dyrektor programu.

MŻ - Czy jesteś w stanie stworzyć zjednoczoną i wyrozumiałą Polonię i zjednoczyć wokół siebie ludzi, którzy będą latami wspierać klub? Sytuacja, kiedy „piętnastominutowi” sojusznicy odchodzą z klubu (co miało miejsce w ostatnich latach) i zajmują się wymianą złośliwości na forach społecznościowych jest fatalna i nigdy nie powinna mieć miejsca.

PR - Ja widzę, że ludzie odchodzą z Klubu, gdyż zrażeni są wewnętrzną atmosferą na poziomie organizacyjnym. W Klubie urządzane są wspaniałe imprezy towarzyskie i ci co nie uczestniczą w zebraniach nie widzą potwornego chaosu, totalniactwa i oszukiwania członków poprzez odbieranie im ich podstawowych praw i nieprzestrzeganie ustalonych zasad. Kto chciałby się zaangażować, gdy traktowany jest w Klubie jako obserwator, który ma się przyglądać (bez możliwości wyrażenia sprzeciwu) jak niszczy się klubową demokrację, tak ściśle i jednoznacznie zdefiniowaną w konstytucji przez tych co klub zakładali?

Ja i Jadwiga będziemy chcieli zaangażować wszystkich chętnych do budowania Klubu i od wypełniania jego misji. Naszym celem jest oddanie Klubu w ręce członków. Chodzi nam o to, aby każdy mógł składać wnioski, swobodnie dyskutować nad własnymi i innych wnioskami - zarówno za i przeciw - i aby w sprawiedliwym głosowaniu przyjmować te rozwiązania, które przyczynią się do rozwoju Klubu w warstwie organizacyjnej. Aby jakiś pomysł zrealizować, nie trzeba będzie przymilać się do zarządu. Wystarczy, że przekona się do niego połowę głosujących. Dopilnujemy także aby zarząd Klubu składał się z ludzi z mandatem pochodzącym od członków, a nie z takich którzy są nielegalnie zaprzysiężeni bez pytania się klubowiczów o ich zdanie. Takie procedury wzmocnią i zjednoczą Polonię, gdyż będzie ona miała realny wpływ na działanie Klubu. Wspólnie Polonia wypracuje takie rozwiązania, których nikt w pojedynkę wymyślić by nie potrafił. To jest moje marzenie i ku temu z Jadwigą dążę.

Zachęcam więc aby się zaangażować i aktywnie domagać się przestrzegania klubowej konstytucji. Jeśli tego nie zrobimy, to Klub po prostu zostanie bez nadzoru i pewnie wkrótce zostanie całkowicie przejęty przez chciwe ręce. Nadchodzi okres wyborczy w PKD, możemy więc wybrać takich ludzi do zarządu, którzy wierzą w demokrację, a nie takich, co stosują tyranię.

MŻ - Dzięki Przemek za rozmowę!

Szanowni Państwo! Wybory na stanowiska przeydenta i wiceprezydenta Polskiego Kluby w Denver odbędą się w niedzielę 8 listopada 2020 roku w jego siedzibie: 3121 W Alameda Ave, Denver, CO 80219.
Goroąco zachęcamy do głosowania!

- Jadwiga i Przemek

Pani BOOK

Dynia niezgody

KARINA BONOWICZ | Nowy Jork

Jakie jest największe święto narodowe Amerykanów? Oczywiście Black Friday i Halloween. Tyle że, o ile Czarny Piątek ma rodowód amerykański, o tyle Halloween zostało tak naprawę ukradzione od tych, którym wydaje się, że pożyczyli je od USA.

Fot. Sylwia Ogrodniczak

USA to jedyny kraj na świecie, gdzie dynie wyrastają już w wakacje. Dlaczego? Bo właśnie wtedy w amerykańskich sklepach zaczynają się pojawiać pierwsze zwiastuny Halloween, które przypada dopiero na 31 października. Podyktowane jest to porządkiem nie natury, ale biznesu. Jest to bez dwóch zdań najhuczniej obchodzone święto, obok dnia Bożego Narodzenia i najważniejszego piątku w roku, czyli Black Friday.

Przygotowania do Halloween zaczynają się na długo przed 31 października, o czym świadczą nie tylko masowe wykupowane dynie, dyndające w oknach plastikowe szkielety czy Freddie Krueger na schodach, ale pumpkin latte w Starbuksie i charakterystyczny okrągły placek dyniowy z kleksem bitej śmietany, który w sieciówkach dostaniemy za jedyne $5. Im bliżej tej daty, tym bardziej mamy wszystkiego dość: i potworków na progach domów, i placka dyniowego. Czekamy więc cierpliwie, aż nadejdzie 31 października, kiedy nastąpi kulminacja wszystkiego, co powyżej i będziemy się musieli przemęczyć, podróżując w metrze z hrabią Draculą i facetem z nożem w głowie i gasząc światła przy każdym dzwonku do drzwi oznaczającym, że na rogu stoją dzieci domagające się cukierków. Następnego dnia wszystko wróci do normy. Nie licząc tego, że nastąpi masowa przecena halloweenowych ozdób i dyniowego placka, która potrwa najprawdopodobniej do Black Friday.

Świat oszalał na punkcie Halloween. Także Ameryka Południowa i Europa, z których to kontynentów tak naprawdę Stany Zjednoczone „pożyczyły" sobie tę tradycję. To bardzo ciekawe, że Europie wydaje się, że przejęła coś z mitycznej Ameryki, kiedy to tak naprawdę mityczna Ameryka wyciągnęła łapę po to, co z europejskiej kultury dało się komercyjnie wykorzystać. Gdyby spytać statystycznego Amerykanina, najlepiej takiego poniżej piętnastego roku życia, skąd w ogóle wzięło się to, że 31 października wkłada głowę Freddiego Kruegera i dręczy sąsiadów, żądając cukierków, daję sobie rękę uciąć, że nie znałby odpowiedzi. No może oprócz takiej, że to ważna amerykańska tradycja, która stała się globalna. Tymczasem jest zupełnie na odwrót.

Tradycję Halloween, czyli „All Hallows' E'en", czyli wcześniejszym „All Hallows' Eve", wigilia dnia Wszystkich Świętych przywieźli do USA najpewniej irlandzcy imigranci, którzy być może nawet nie pamiętali, że przed chrystianizacją w Europie Północnej obchodzono święto „Samhain" („koniec lata") z okazji końca jesieni a początku zimy, połączone z wiarą, że to czas współistnienia żywych i zmarłych. Tak naprawdę wszystkie „amerykańskie" tradycje, takie jak wydrążone dynie z płonącymi oczami czy barwne korowody przebierańców to nic innego jak zwyczaje Celtów czy Meksykanów obchodzących Día de los Muertos czy święta zmarłych w Guatemali albo Wenezueli. Tak, tak, Amerykanie „pożyczyli" sobie też coś z Południowej Ameryki, która to Ameryka dziś „od-pożycza" sobie czasem Halloween.

- Myślę, że mój kraj zapożyczył to święto z USA – przyznaje Paola Roa z Kolumbii. – Dla nas jednak przebieranie się w kostiumy to jedynie dobra okazja do zabawy, bo w naszym kraju nie ma żadnych zwyczajów związanych z chodzeniem na cmentarz i wspominaniem tam zmarłych.

Inaczej jest natomiast w Ekwadorze, który oparł się pokusie „pożyczania" Halloween.

- Naszą tradycją jest chodzenie na cmentarz z typowym napojem zwanym „colada morada" i chlebem „guagua", co oznacza „dziecko". Ta tradycja należy do rdzennych mieszkańców – mówi Vanessa Soccola z Ekwadoru.

W Polsce październikowa dynia jest wciąż przedmiotem dyskusji.

- Jeśli chodzi o Halloween w USA to jest to zaadaptowanie tradycji europejskich, które ma charakter czysto biznesowy – mówi Dominik Antonowicz, prof. UMK z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, socjolog. – Z kolei to, co dzieje się w krajach europejskich, w tym także w Polsce, to „westernizacja", a zwłaszcza dominacja wpływów anglomerykańskich, czyli naśladowanie krajów będących obiektem podziwu. A Ameryka wciąż jest takim krajem dla wielu innych państw. Czy uda się zahamować ten proces? Trudno powiedzieć. Pewnie, jak z każdym trendem, może i on przeminie, a na jego miejsce przyjdzie nowy. Kto wie, może poszczególne państwa, porzucą ideę Halloween i wrócą do dawnych, przedchrześcijańskich tradycji obchodzenia tego dnia?

Póki co, jedno jest pewne: 31 października rozpoczynają się żniwa handlowe, w których udział wezmą zapewne i zwolennicy Halloween – ci, którzy wiedzą, o co w nim chodzi oraz ci, którzy nie mają o jego genezie zielonego ani nawet dyniowego pojęcia, jak i jego przeciwnicy, którzy co prawda będą się odżegnywać od Halloween, ale z halloweenowej promocji w Walgreensie już skorzystają, bo przecież co ma piernik do wiatraka.

Ostatnio weszłam do sklepu odzieżowego, że kupić ciepłe skarpetki na zimę. Obok wisiała sezonowa kolekcja kostiumów halloweenowych. Nie było wśród nich przaśnego stroju hrabiego Draculi albo Baby Jagi. Można było za to znaleźć kostium seksownej pokojówki, seksownej policjantki, seksownej czarownicy, seksownego Czerwonego Kapturka, seksownego Teletubisia (?) etc. Sprawdziłam dwukrotnie, czy nie weszłam przypadkiem po skarpetki do sex shopu. Nie. Sklep odzieżowy. Ten sam, w którym zwykle kupowałam najmniej seksowne zimowe skarpetki na świecie.

Pani BOOK **www.bookpani.blogspot.com**

Legendy polskie

O Juracie, Królowej Bałtyku

DOROTA BADIERE

Jurata zerknęła niecierpliwie na zegarek. Jeszcze nie było szesnastej a jesienne słońce już kąpało się w Bałtyku, w którym za chwilę miało zniknąć do rana. Jej wzrok wrócił na wodę. Patrzyła niecierpliwie w szarą i nudną, a jednocześnie zimną i ostrą otchłań. Tak ukochaną i tak znienawidzoną. Za którą tęskniła i od której uciekała. Bałtyk, tchnący życiem i niosący śmierć.

Wraz ze zgaśnięciem ostatniego pomarańczowego promienia słońca, Jurata zapaliła świecę i schowała ją w szklany klosz, aby płomień utrzymał się przy podmuchach morskiego wiatru. Wyszła z domu na drewniany taras i delikatnie zasunęła za sobą szklane drzwi. Taka prosta czynność powtarzana od tylu lat, a mimo to jej ręce drżały tak samo, kiedy szła na spotkanie z kochankiem po raz pierwszy. Szybkie bicie serca było jedynym dźwiękiem wokół niej. Zdawało jej się, że im bardziej zbliżała się do piaszczystej plaży, tym głośniej rytmiczne dudnienie ją zagłuszało.

Dotarła do części plaży, gdzie morze łączy się z lądem. Stopy poczuły chłód mokrego piasku i w ciągu kilku sekund magiczna energia zawędrowała do najdalszych zakątków jej ziemskiej postaci. Było to uczucie tak przyjemne, że dreszcze zawładnęły jej całym ciałem. Morze ciągnęło ją jak magnes, gdyby tylko mogła zanurzyć się w falach, chociaż na kilka chwil. Z wielkim trudem zwolniła, uspokoiła drżenie rąk i ramion. Jeszcze kilka kroków i zatrzymała się w słonej wodzie po kostki. Nie miała odwagi iść dalej. Podniosła świecę najwyżej ponad głowę jak tylko mogła.

- Kastytisie! - Krzyknęła rozpaczliwie w głąb słonej przestrzeni.

Nagły powiew wiatru od morza okrążył ją całą, wirował coraz szybciej i coraz gwałtowniej, zasypując ją białym piaskiem, okruchami połamanych muszelek i kawałkami bursztynu. Kobieta utrzymała w rękach świecę w szklanej osłonie, co sprawiło, że w jej słabym blasku ona sama została pokryta milionem bladych światełek odbijających się na skórze, przyklejonych do sukienki i wplecionych we włosy. Bryza ustała tak nagle, jak nagle się pojawiła.

- Najwspanialsze klejnoty Bałtyku - wyszeptała Jurata otwierając oczy. - To ty jesteś najwspanialszym klejnotem Bałtyku, Jurato - Kastytis stał obok niej.

Stali w ciszy. Dłoń Kastytisa splotła się z dłonią Juraty. Drugą ręką Kastytis delikatnie pogładził policzek ukochanej. Ta chwila mogłaby trwać wiecznie, a miała prawo trwać zaledwie kilka godzin. Jedna magiczna noc w roku musiała im wystarczyć. Kastytis wziął świecę od Juraty, po czym objęci, wrócili wolno do jasno oświetlonego domu na wydmie.
- Pięknie zajmujesz się domem, Jurato - powiedział Kastitis jak już usiedli w środku - to nie ta sama chata rybacka, w której mieszkałem wieki temu.
- To prawda, czasy nie zawsze były spokojne, jak sam wiesz, kochany - Jurata przytaknęła smutno - ale cieszę się, że zdołałam na miejscu twojej chaty zbudować ten okazały dom. Bogactwo bursztynu dużo w tym pomogło, to nasz prawdziwy skarb, chociaż o wiele mniej doceniany w dzisiejszych czasach.

Po wielu latach, Jurata i Kastytis potrafili najzwyczajniej cieszyć się sobą. Po tym jak Perun zniszczył podwodny pałac Juraty z bursztynu i odebrał ziemskie życie Kastisowi, przypieczętowaniem zemsty wszechwładnego boga było przykucie Juraty do skał na dnie morza. Po wielu gwałtownych sztormach, Juracie udało się przekonać Peruna, aby ją uwolnił. - Pozwalam ci Jurato zamieszkać na lądzie - oznajmił Perun. - Twoje awantury ze sztormami dają się wszystkim we znaki, więc postanowiłem cię uwolnić. Będziesz odtąd mieszkać wśród ludzi, takiego wyboru dokonałaś, kiedy pokochałaś człowieka z krwi i kości.

Fot: Karolina Grabowska

- Perunie wszechwładny, dlaczego nie potrafisz zrozumieć miłości bez względu na wszystko? Nie widzisz, że to właśnie bezinteresowna miłość jest największą mocą na całym świecie i po wsze czasy? - Błagania Juraty przepełnione były żalem, ale na nic się zdawały.

- Nie odbieram ci twojej miłości do Kastytisa, ani miłości do morza - mówił spokojnie Perun. - Ale twoja tęsknota do morza pozostanie tak wielka, że ostrzegam cię, jak zanurzysz się w Bałtyku choć raz, nie będziesz mogła już z niego wyjść.

- To jak kolejna kara! - zaszlochała Jurata.

- Będziesz mogła za to spotykać się ze swoim ukochanym - Perun wyraźnie pastwił się nad nieposłuszną boginią, ale doceniał w Juracie przeciwnika godnego tej boskiej debaty. - Ludzie mają tu na przykład taką noc, kiedy dusze zmarłych mogą spotkać się z żyjącymi, to Zaduszki.

- Do końca świata będę mogła spotkać się z ukochanym Kastytisem w jedną noc w roku? To już lepiej od razu zamień mnie w pianę morską, Perunie - powiedziała zrezygnowana Jurata.

- Klątwa przestanie działać pod jednym warunkiem - Perun wyraźnie zirytowany dał się przekonać do ustępstwa. - Uważasz, że nie jestem wyrozumiały, bo nie pozwoliłem, abyś pokochała człowieka zamiast jednego z naszych bóstw? Ludzie też od wieków prześladują się nawzajem za miłość do kogoś innego. Nie można pokochać drugiego człowieka tak po prostu, dla samej miłości! Pfff! Kto to słyszał? Sama się przekonasz, są pod tym względem gorsi od nas - Perun zamyślił się na chwilę, był wyraźnie zadowolony ze swego wywodu, nie zrobił przecież nic, co odstępowałoby od powszechnie przyjętej normy - Jeżeli ludzie będą mogli kochać drugą osobę niezależnie od wszystkiego, wtedy klątwa przestanie działać.

- Perunie litościwy - zaczęła ponownie Jurata.

- Ani słowa więcej, nie mam nic więcej do powiedzenia - błysnęło nieopodal, zagrzmiało i od tej pory Jurata nie widziała już Peruna.

* * *

- Jurato kochana, widzę, że jesteś myślami gdzieś bardzo daleko - wyrwał ją z zadumania Kastytis.

- Wspominałam ten dzień, kiedy poszłam z Perunem na ugodę.

- Dzień przeklęty! - odparł cicho Kastytis.

- Dzień wspaniały! Kastytisie, możemy się spotykać, wiem, że niezbyt często…

- Jedna noc w roku - przerwał jej Kastytis.

- Aż jedna noc w roku! I dopóki jest nadzieja, że klątwa straci swoją moc, dopóty będę robić wszystko, żeby do tego doprowadzić.

Jurata przysunęła swoją twarz i zaglądnęła Kastytisowi w oczy tak blisko, że można było zobaczyć w nich głębię morską, w której duch Kastytisa przebywa przez resztę roku. Przeraziła ją ta głębia jego oczu, jakby miała wciągnąć Juratę i już nigdy nie wypuścić na powierzchnię. Tak jak przepowiedział jej Perun. Na tę myśl, spuściła szybko oczy i położyła głowę na ramieniu Kastytisa. Siedzieli tak wtuleni w siebie przez długi czas. Oboje bali się odezwać. Wiedzieli, że nie mają dla siebie tak wiele czasu i lepiej przemilczeć resztę nocy, niż rozpamiętywać historię ich nieszczęśliwej miłości, której nie da się odwrócić. W końcu Kastytis zabrał głos.
- Masz rację, Jurato, cieszę się, że mogę cię ujrzeć rok w rok, między naszymi spotkaniami czekam na ten czas z utęsknieniem. Nie wszystkie zbłąkane duchy mają tyle szczęścia, co ja. Ale są to zawsze dla mnie spotkanie tak radosne jak i smutne, bo wiem, że za chwilę się rozstaniemy na kolejny rok - Kastytis przytulił ją mocniej, jakby to miało pomóc, aby już nigdy nie musieli się pożegnać. - A jak sprawy wśród ludzi? Czy już niedługo będą się darzyć miłością bezinteresowną, bez względu na wszystko i ponad podziałami?

- Kastytisie, wiele się już zmieniło na dobre. Niestety, ciągle zbyt często mam wrażenie, że wracamy do zamierzchłych czasów. Jak w jednym miejscu na świecie cywilizacje ludzkie poukładają sobie już wszystko jak należy, wybucha wojna na drugim końcu świata. Kraje walczą o wolność i pokój po to tylko, aby za chwilę znowu rządziła nienawiść. Ale teraz za to jest lepsza komunikacja. Ludzie przekazują sobie informacje i rozmaite mądrości. Można też teraz zapamiętywać historię i dzięki temu lepiej rozróżniać dobro od zła. Jest szansa, aby ludzie mogli kochać się tak po prostu, dla samej miłości, bez względu na różnice, bez względu na podziały. Wierzę, że będzie lepiej.

- Do zobaczenia za rok, moja kochana - Kastytis schylił się jeszcze na koniec i musnął usta Juraty swoimi na pożegnanie.

Zaczęło widnieć, dobiegła końca magiczna noc zaduszkowa.

- Komu w drogę, temu czas - Jurata zerwała się na obie nogi ocierając zapłakaną twarz. - Jest jeszcze dużo do zrobienia.

Zapiski nie tylko kalifornijskie

Tajemne życie lotniska

MAŁGORZATA CUP | Los Angeles

Przypadkiem odkryłam starą już serię National Geographic poświęconą lotniczym katastrofom. A że samoloty i lotniska są mi bliskie od wielu lat i spędzałam na nich znaczną część zawodowego życia (a i prywatnie niczego mi w tej materii nie brakowało), to obejrzałam chyba dwadzieścia programów o tym, co w samolotach może pójść nie tak. Nigdy nie bałam się latać i nawet wzięłam lekcje latania, kiedy przyjechałam do Kalifornii, niestety skończyło się na marzeniach, bo to jednak sport dość kosztowny i wymagający. Ale latać lubię bardzo i nadal pomimo obejrzenia programów, które próbują do tego zniechęcać.

National Geographic pokazywał nie tylko zdjęcia (te najmniej drastyczne) z miejsc katastrof, ale także rekonstrukcję zdarzeń, a w przypadku, kiedy z katastrofy udało się pasażerom czy obsłudze wyjść cało, przeprowadzano z nimi krótkie rozmowy. Szalenie interesującym był także stały element programu, w którym śledczy dociekali, jaka była przyczyna wypadku, jaki ciąg zdarzeń do niego doprowadził. Bo, jak wspominają w czołówce każdego odcinka, katastrofa nigdy nie jest dziełem przypadku. Przyznać muszę, że to, czego się dowiedziałam o rzeczach absolutnie trywialnych, które mogą stać się przyczyną śmierci czasami setek ludzi, zmieniło nieco moje podejście do kwestii bezpieczeństwa w lotnictwie. Zaczęły mi się przypominać różne zdarzenia lotniskowe, które wówczas irytowały, a obecnie stały się jasne. No bo kogo nie denerwowałoby, że próbuje się mu z walizki usunąć lakier do włosów, proszek do prania czy wybielacz (w skrajnych przypadkach nawet benzynę!). Tymczasem wszystko to jest łatwopalna lub żrąca chemia, która może prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji. Albo baterie litowe, którym w powietrzu również niewiele trzeba, żeby się zapaliły. Czy wózki inwalidzkie z tak zwanymi mokrymi bateriami, od nich też łatwo może wystąpić kłopot, kiedy wyleje się ich zawartość. A może wielkie opony, jak do traktora? Podróżowałyby w luku bagażowym, ale trudno je bezpiecznie przyczepić do palety, a jeśli nie będą zabezpieczone, to szansa na to, że samolot straci pierwotne i niezwykle istotne prawidłowe wyważenie jest ogromna. A od tego do katastrofy już tylko mały krok.

Ale ponieważ i tak wszyscy jesteśmy mocno zestresowani obecną sytuacją, nie będę pisać o katastrofach. Stanowią one jedynie przyczynek do kilku lotniskowych wspomnień, które jakoś wpisują się w ogólnie pojęte kwestie bezpieczeństwa.

Przez pewien czas pracowałam na lotnisku w Los Angeles (LAX) dla dwóch europejskich linii lotniczych. (Nie mogę zdradzać szczegółów, dla dociekliwym podam jedynie, że nie był to polski przewoźnik narodowy.) Praktycznie od pierwszego dnia pracy pojawiły się sytuacje, które były zabawne lub smutne, irytujące lub właśnie groźne. Jeszcze podczas szkolenia uczulono nas, że najważniejsze jest bezpieczeństwo, zatem jeśli zauważymy odbiegające od normy zachowania, należy o tym natychmiast poinformować. Linie przygotowały także ulotkę, na której w kilku językach mówiono o przedmiotach i towarach, których przewóz jest ograniczony lub wręcz zabroniony.

LAX - Międzynarodowe Lotnisko w Los Angeles - drugie w USA o najwyższym ruchu pasażerskim, a trzecie na świecie

Znalazły się na niej między innymi zapałki, benzyna, baterie, broń i amunicja, gaz, samochodowe resory, urządzenia działające na pilota itp. Jedna z „moich" linii lotniczych latała z Europy do Los Angeles, gdzie miała międzylądowanie, a następnie po dwóch godzinach leciała dalej do Papeete na Tahiti. To był trudny lot nocny, bowiem cała grupa pasażerów, która leciała z Europy na Tahiti musiała przejść odprawę imigracyjną i wrócić do samolotu w krótkim czasie, a o tej porze przylatywało bardzo dużo samolotów z Azji, więc zwykle urzędnicy imigracyjni byli bardzo zajęci (i było ich mniej niż w ciągu dnia). To też lot, którym bardzo często podróżowały dzieci bez rodziców, a więc konieczne było ich przeprowadzenie tą samą trasą, co i innych pasażerów, ale z dziećmi zawsze trudniej, bo jedno zmęczone, drugie chce spać, inne głodne i tęskni do mamy. A jak tych dzieci w szczycie sezonu było 30, to każdy bronił się przed byciem nianią. W pasażerskim tłumie bardzo łatwo było zgubić podopiecznego (najmłodsi mieli 5 lat) i problem gotowy. Szczęśliwie nigdy nikogo nie straciliśmy, ale poziom stresu podnosił się znacznie, kiedy dziecięcy peleton zanadto się rozciągał. Zwykle oddychaliśmy dopiero, kiedy dzieci przejmował personel pokładowy. A i to nie zawsze, bo pewnej nocy podróżował tym lotem chłopiec bodaj 10-letni, który przez cały czas lotniskowego spaceru zadawał dość niepokojące, jak na wiek, pytania w stylu „gdzie najlepiej umieścić bombę w samolocie, ile środka wybuchowego i jakiego trzeba byłoby użyć do wysadzenia samolotu wielkości Airbusa 350, jak taką bombę w samolocie umieścić najłatwiej, skoro bagaże są prześwietlane etc."

Tym samym lotem zwykle podróżowało z Los Angeles sporo mieszkańców Tahiti, którzy do Kalifornii przylatywali na zakupy. Na wyspie wszystko podobno było bardzo drogie, więc kupowali ubrania, żywność, sprzęt gospodarstwa domowego, detergenty (które od razu lądowały w śmietniku). Ta grupa pasażerów zawsze miała mnóstwo bagażu i zwykle zbyt ciężkiego, podróżowała „stadami" (całkiem naturalne były rodziny składające się z 8-10 osób), chętnie z małymi dziećmi.

Kokpit samolotu Dreamliner - inżynier liniowy na LAX sprawdza wszystkie parametry na urządzeniach pokładowych | Fot: Małgorzata Cup

W noc Bożego Narodzenia pojawiła się przede mną taka właśnie 9-osobowa rodzina, w której najmłodszy podróżny miał kilka miesięcy, a głowa rodziny była dużym bardzo Tahitańczykiem o twarzy dziecka i superłagodnym głosie. Na tradycyjne pytanie o niebezpieczne przedmioty w bagażu bardzo uważnie obejrzał ulotkę i po chwili wahania wskazał na pistolet. Niezbornie zaczął też tłumaczyć, że to pistolet, ale nie zabija ludzi. Trzeba było oczywiście ten pistolet zobaczyć, a pan miał 20 walizek i nie bardzo pamiętał, w której rzeczona broń ma być. Wreszcie udało się ją zlokalizować – leżała w walizce, owinięta czarną plastikową folią. Pan próbował mi ją z tej folii wyjąć, ale szybko poprosiłam, by tego nie robił – wyobrażałam sobie, jak wielki mężczyzna wyciąga pistolet na lotnisku, niemal o północy, na oczach setek innych pasażerów! Wzięłam zawiniątko od niego i szybko weszłam do biura, gdzie wspólnie z innymi menadżerami zadzwoniliśmy na lotniskową policję. Koleżanka zaczęła od informacji „to nie jest sytuacja zagrożenia dla życia lub zdrowia, ale mamy pasażera, który przewozi w bagażu broń, której wcześniej nie zgłosił, sam ją nam okazał, jednak nikt z nas nie ma doświadczenia z bronią i chcielibyśmy, by policja pomogła nam ocenić, czy ta broń może lecieć".

Nie zdążyłam wyjść z biura, kiedy przed stoiskiem naszej linii pojawiło się sześciu policjantów na rowerach, a ich dowódca (wymachując swoją bronią w powietrzu) zaczął krzyczeć „gdzie jest broń i gdzie jest podejrzany?!". W tym momencie dookoła nas zrobiło się pusto i cicho, a przy stoisku został tylko ten wielki Tahitańczyk i my z torebką po broni, bo ta nadal była w biurze. Próbowałam wyjaśnić, że to właśnie ten pasażer, a broń mamy w pomieszczeniach biurowych i że generalnie nic nikomu nie grozi, ale dowódcy patrolu, jak się okazało, nie przekonałam i krzyczał dalej (przestałam się wówczas dziwić, że zdarzają się strzały w kierunku policji, skoro reakcje są na tak wysokim C). Po chwili jeden z oficerów wszedł z nami do biura, żeby obejrzeć broń i okazało się, że to tzw. Bb gun, którego używa się do strzelania do szczurów czy ptaków, właściwie zabawka, ale jednak można nią zrobić krzywdę, a na pewno przestraszyć. Po konsultacji z szefem panowie doszli do wniosku, że broń lecieć nie może i należy ją rozłożyć na części i wyrzucić. A gdzie? Do kosza. Na lotnisku. Chyba, żeby ktoś mniej odpowiedzialny mógł znaleźć tę broń i skorzystać...

Lot do Papeete sławny był nie tylko z podróżnych o dużych gabarytach, ale i ze stosunkowo wysokiego prawdopodobieństwa pojawienia się na nim substancji niedozwolonych – czytaj – narkotyków. Jak wszystko na Tahiti były one bardzo drogie.

Pewnej nocy podróżowała grupa 13-osobowa, w tym 3 osoby o tym samym nazwisku, jak się okazało ojciec i jego dwie nastoletnie córki. Ojciec bardzo nerwowo sprawdzał przy stanowisku check-in okolice paska od spodni, rzeczywiście zachowywał się dość dziwnie, ale złożyłam to na karb niepokoju i stresu przed lotem.

Kiedy byłam przy bramce, pojawił mi się zupełnie nagle za plecami jeden z naszych ulubionych policjantów i poprosił o wyszukanie w systemie nazwiska tego podejrzanie zachowującego się pasażera i usunięcie jego bagażu z samolotu. Poprosiłam rampę o zajęcie się bagażem i jednocześnie poinformowałam policję, że pasażer podróżuje w grupie trzynastu osób, a jeszcze dwie noszą to samo nazwisko. Kazał ogłosić przez megafon, by w trybie pilnym te dwie osoby zgłosiły się do bramki.

Dziewczyny siedziały nieopodal i podeszły do mnie mocno wystraszone. Policjant zaprosił je do pokoju przesłuchań, jaki znajduje się przy każdej bramce na LAX. Po kilku chwilach poinformował mnie, że ich bagaż też trzeba z samolotu wyjąć i że będą chcieli wszystko przeszukać, a pasażerki również zostaną w LA. Upewniłam się, że pozostałe dziesięć osób policji nie interesuje. Kiedy do bramki dotarła załoga poinformowałam kapitana, że będzie miał trzy osoby mniej na pokładzie i że podejrzewam, że pozostała część grupy też może mieć jeszcze jakieś problemy.

Po godzinie mogliśmy zacząć wpuszczać pasażerów do samolotu. Kapitan wyszedł

C.d

jeszcze do bramki i zapytał o sytuację z policją, która obserwowała samolot i naszych pasażerów z niewielkiej odległości. Ponownie upewniłam się, że to koniec atrakcji na ten wieczór. Boarding zakończony, drzwi samolotu zamknięte, kapitan macha z kokpitu, pusher odpycha samolot od bramki. I w tej właśnie sekundzie biegnie do mnie policjant i krzyczy, żeby zatrzymać samolot!!! Koledzy z rampy zaczęli więc dawać rozpaczliwe sygnały kapitanowi i dopiero, kiedy ponownie udało się połączyć radiowo z kokpitem samolot wrócił do bramki, doczepiliśmy rękaw i policja poprosiła o wyjście z samolotu pozostałej dziesiątki i usunięcie ich bagaży z luku.

Opóźnienie było duuuuuże. Ale odpytany przez nas policjant wyznał, że u nerwowego pasażera znaleziono wszyte w spodnie woreczki z 4 kilogramami kokainy. Bagaż jego córek (!!!) zawierał kolejne jej porcje. Pozostali pasażerowie nie byli chyba wtajemniczeni w handlowo-przestępczy profil kolegi i wrócili do Papeete kolejnym rejsem.

Wizyty policji czy oficerów imigracyjnych były dość częste i wiadomo było, że jeśli w pobliżu któryś z panów za bardzo się bramce przygląda, to mamy kolejny kłopot. W pewnym okresie LAX otrzymało informacje o potencjalnym zagrożeniu bombowym na lotach do i z Europy, a to oznaczało, że na każdy przylot stawiali się przy bramce oficerowie służb celnych i imigracyjnych – celni stali na rampie i oglądali bagaże, imigracyjni tuż przy wyjściu z rękawa i zaczepiali co bardziej podejrzanych ich zdaniem pasażerów. Oczywiście utrudniało to szybkie przystąpienie do przygotowania samolotu do drogi powrotnej, a w przypadku A-350, który na pokład zabiera małą wioskę, czyli ponad 500 osób plus 24 osoby załogi, każda minuta ma znaczenie. Bardzo nas to irytowało, ale... bezpieczeństwo ponad wszystko!

W tym właśnie okresie oficerowie pojawili się najpierw przy stanowiskach check-in, gdzie poprosili o zaznaczenie w systemie notatki dla bramki, aby zatrzymać jednego z pasażerów, a następnie już przy bramce

Na kapitanie samolotu ciąży wielka odpowiedzialność, w tym za to, by jego pasażerowie byli w pełni bezpieczni. Ma zatem prawo do usunięcia z pokładu kogoś, kto zachowuje się agresywnie lub jest pod wpływem alkoholu czy innych środków. W samym środku lata trafił się nam właśnie taki pasażer, pamiętam, że był potężny i miał na głowie wielki kapelusz, jakby właśnie zsiadł z byka na rodeo. Widać było, że wypił trochę, ale zachowywał się grzecznie, więc wpuściliśmy go na pokład, jednak poinformowałam kapitana i szefa pokładu, by mieli go na oku. Zaraz po wejściu do samolotu pan poprosił o alkohol, ale stewardesa odmówiła. Pan zrobił się mniej grzeczny i stanowczo głośniejszy, co usłyszał kapitan. Wyszedł z kokpitu i poprosił go uciszenie się. Tak się stało, jednak nie zauważono, że pasażer miał przy sobie alkohol ze strefy wolnocłowej, który wypił chyba duszkiem, bowiem chwilę później trudno już było z nim nawiązać sensowny kontakt. Kiedy kapitan zobaczył go ponownie, kazał mu opuścić samolot. Łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo panu nogi plątały się równie mocno, jak język

Próbowałam wywoływać panią przez system nagłośnieniowy, w jej rezerwacji widziałam, że zrobiła check-in na lotnisku, a nie w domu, czyli zapewne jest gdzieś w pobliżu. Był tam też numer jej telefonu, zatem z niego skorzystałam. Pani odebrała, powiedziała, w której części lotniska się znajduje i okazało się, że zmierza dokładnie w przeciwnym kierunku niż powinna. Wytłumaczyłam prawidłową trasę i zaznaczyłam, że za 5 minut zamykamy drzwi. Trochę się niepokoiłam, bo również brzmiała, jakby „zatruła się alkoholem", ale mimo wszystko reagowała na pytania dość przytomnie.

W trybie przyspieszonym pasażerka powinna do nas dotrzeć w ciągu 3 minut, ale po tym czasie nie było jej nadal przy bramce. Ponowny telefon i okazuje się, że pani się oddala, widocznie „zatrucie" działało szybko. Jednocześnie koledzy pobiegli jej szukać, ale nikt z nas wcześniej jej nie widział, zatem zadanie było trudne. Udało się jednak zlokalizować pasażerkę, kapitan zgodził się poczekać i po kilku chwilach naszym oczom ukazał się wysoki kolega, który dosłownie

Dreamliner *en face* | Fot: Małgorzata Cup

Brzuszek Dreamliner'a | Fot: Małgorzata Cup

Pewnego dnia odpowiedzialna byłam za organizację boardingu pasażerów na pokład samolotu, który udawał się z LAX do Europy. Cieszyłam się, bo lot wyglądał na spokojny – pasażerów nie było więcej niż miejsc w samolocie (tak, linie lotnicze sprzedają około 10% biletów więcej niż jest dostępnych miejsc w samolocie zakładając, że około 10% to tzw. no-show, czyli pasażerowie w ostatniej chwili rezygnują z lotu, ale nie anulują rezerwacji; zwykle ta taktyka się sprawdza, choć w wakacje można się srodze zawieść). Załoga przyjechała na lotnisko na czas, kapitan był bardzo kooperatywny, wiatr nam sprzyjał, a bramka była dobra, bowiem znajdowała się blisko pasa startowego, czyli kołowanie nie będzie trwało pół godziny.

I ponownie za plecami pojawił mi się policjant z karteczką w ręku, pokazał zapisane na niej nazwisko i poprosił, bym wyświetliła dane dotyczące jego rezerwacji. W systemie pasażer figurował jako obywatel holenderski. Policjant poprosił o pilne przywołanie go do bramki, co też uczyniłam. Podszedł do mnie niebawem uśmiechnięty czterdziestoparoletni mężczyzna, a policjant zaprosił go do pokoju przesłuchań, oczywiście jego bagaż został już wyjęty z luku i pozostawiony na rampie do obejrzenia przez odpowiednie służby.

Bardzo szybko przesłuchanie zakończyło się, a z pokoju wyszedł mój niedoszły pasażer z dłońmi skutymi kajdankami, a dla niepoznaki zakrytymi przewieszonym przez nie prochowcem. Oficer rzucił mi tylko, że w plecaku Holendra znalazł bodaj siedemnaście różnych paszportów z jego zdjęciem, ale z zupełnie innymi danymi personalnymi.

poprosili, żebym pozwoliła pasażerowi wejść za bramkę, ale nie do rękawa, jednocześnie dając im dyskretnie znać, że to osoba, z którą chcieli porozmawiać. Oczywiście nie chcieli powiedzieć, cóż im zawinił 76-letni obywatel Wielkiej Brytanii. Wówczas na LAX pojawiły się maszyny do boardingu biometrycznego, który używa skanera twarzy (między innymi). Pasażerowie mieli prawo z tej opcji zrezygnować, część obawiała się, co też dzieje się z ich danymi, bowiem wszystkie one są w systemie przechowywane przez miesiąc i nie wiadomo, jakim obróbkom są czy mogą być poddawane. Nasz 76-latek również nie zgodził się na boarding z użyciem skanera twarzy, wszedł za bramkę po zeskanowaniu wejściówki i tam powitało go czterech policjantów. Odcinając mu drogę odwrotu, zaprosili do pokoju przesłuchań i dosłownie po dwóch minutach wyszli. Starszy pan, drobny, mały człowieczek z reklamówką w dłoni, ręce miał skute, na rękach przewieszony płaszcz, głowę spuszczoną. Okazało się, że był ścigany listem gończym przez Interpol przez ostatnich 40 lat, bowiem w latach 70. okradł swoją ojczyznę na kilkadziesiąt milionów funtów, zbiegł do USA i tu się ukrywał. Od tamtej pory nie wyjeżdżał z Kalifornii, wiódł bardzo skromne życie i starał się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Nawet karty kredytowej nie używał aż do tamtego feralnego czasu, kiedy postanowił wybrać się w odwiedziny do Europy. Po wylądowaniu na jednym z lotnisk na stałym lądzie do Wielkiej Brytanii miał się dostać pociągiem, żeby jeszcze mniej rzucać się w oczy. Nie wiedział niestety, że od chwili, kiedy kupił bilet aż do momentu, w którym dotarł na lotnisko jego ruchy były starannie śledzone. W sumie było nam go żal.

i próbował stawiać opór, a że był duży, to nie było wielu chętnych do wyprowadzania go z pokładu.

Przedstawiciel linii lotniczej, do której należał samolot, a który był obecny przy bramce, niezwykle uczynny i bardzo miły, acz znacznie skromniejszych rozmiarów Paco, wziął pasażera pod rękę i z trudem prowadził go do wyjścia, jednocześnie tłumacząc, że niestety nie poleci, bo kapitan się na to nie zgadza. Pasażer uparcie dopominał się o wyjaśnienia, bełkocząc coraz bardziej, a Paco – dusza człowiek – nie chciał mu tak wprost powiedzieć, że jest pijany. Posadził go na ławce tuż przy bramce, poszedł po kawę do barku obok, usiadł koło niego i jeszcze raz odpowiadał na pytanie „ale dlaczego nie mogę lecieć". Paco przekonywał go, że nic się nie stało, bo za dwie godziny będzie kolejny z naszych samolotów, a jak i tym nie poleci, to wyślemy go wieczorem z przesiadką na jednym z lotnisk europejskich. „No ale dlaczego nie mogę polecieć teraz?!!!" kolejny raz zapytał wielkolud. Zrezygnowany Paco odparł nieśmiało „bo zatrułeś się alkoholem..." Chwilę później pasażer zległ na ławeczce, kapelusz spadł na podłogę, a on sam zachrapał donośnie. Nie poleciał ani za dwie godzin, ani nawet wieczorem, policja wyprowadziła go z lotniska, kiedy udało się im go dobudzić...

Podobną przygodę miała pasażerka naszego wieczornego lotu do Europy. Mieliśmy już wszystkich pasażerów na pokładzie i do zamknięcia drzwi samolotu zostało kilka minut, więc czasu było mało (bramka ma prawo anulować pasażera z lotu na 20 minut przed planowanym zamknięciem drzwi, co jest wyraźnie napisane na wejściówce).

ciągnął pasażerkę ku bramce, mocno już zmęczony porzucił ją na pobliskiej ławce – pani usnęła zanim chyba jeszcze jej pupa dosięgła siedzenia.

Staliśmy skonsternowani, sięgnęłam po radio i poprosiłam, by przekazano kapitanowi, iż pasażerka chyba musi się przespać... Kolega, który ją odszukał twierdził, że na jego oczach jej stan się pogarszał od w miarę sensownej rozmowy do kompletnego bełkotu, aż po sen. To podobno efekt popijania proszków nasennych alkoholem. Zawiadomiona przez nas policja przyjechała ze służbami ratowniczymi i po chwili odstawiono nieszczęsna podróżniczkę do krawężnika przed lotniskiem, skąd miała ją odebrać taksówka.

Lotniskowe przygody stanowiły wdzięczny temat do rozmów ze znajomymi i do dziś pozostają mi w pamięci zdarzenia, które albo bawiły, albo przerażały, albo ciekawiły. Lubiłam nasze załogi i z większością z nich bardzo dobrze się pracowało. Życie wewnętrzne lotniska jest niezwykłym doświadczeniem, bo można się zetknąć z wszystkimi jego odcieniami, jak soczewka skupia w sobie to, co dobre i co złe. Bywa, że napięcie sięga zenitu i trzeba mocno kontrolować sytuację, żeby zasady bezpieczeństwa zostały zachowane. Ale z każdym samolotem, który z LAX startował i na LAX lądował pojawiał się nowy zestaw doświadczeń, żaden dzień nie był podobny do poprzedniego. W jakimś sensie jest to fascynujące! Może to pomysł na kolejną serię National Geographic?

Życzę Państwu pięknych podróży!

Sukces w Spódnicy

Alicja w Krainie Czasów

MARTA DABROWSKI | Chicago

Czy zechciałbyś mi powiedzieć którędy mam iść?
- To zależy w dużej mierze dokad chcesz iść - odpowiedział Kot
- Właściwie to mi wszystko jedno - odrzekła Alicja.
- W takim razie obojętne którędy pojdziesz - odpowiedział kot z Cheshire (...).

Same chyba widzicie - aby dotrzeć gdzieś - trzeba mieć sprecyzowany cel i potem przychodzi plan. Ciągle słyszę, że wszyscy jesteśmy różni, ale w praktyce wychodzi na to, że robimy to samo - albo błądzimy, albo kręcimy się wkoło, lub też co najgorsze - stoimy w miejscu. Jak można dotrzeć do celu nie posiadając mapy?

W tym przypadku Waszą mapą jest Wasz plan. Jeśli ciągle zwlekasz z napisaniem go i odkładasz to na „KIEDYŚ", to chcę zebyście wiedzieli jedno: to Twoje „KIEDYŚ" to wredny wróg i jak choroba zabierze Ci Twoje marzenia do grobu!!!

Melvin Powers powiedział: „Nikt nie powinien się zadowalać czymś mniejszym niż życie pełne, bogate i satysfakcjonujące."

Dla mnie to oznacza jedno, jeśli nie odpowiada mi sytuacja i moje wykręty dotyczące mojego własnego życia, to do cholery muszę coś z tym zrobić. Więc mogę mieć w życiu wszystko czego dusza zapragnie, o ile zdobędę się na odwagę podjęcia ryzyka. Bo przecież panicznie boimy się zmian, i chyba trochę histeryzujemy, kiedy wydarza się coś co jest nam obce. PORA NA RYZYKO, BABECZKI!

Podzielę się z Wami pewną techniką motywacyjną i mocno wierzę, że uda Wam się tego dokonać. Ta technika pozwala na jasne sprecyzowanie celów, zarówno tych długoterminowych jak i krótkoterminowych.

Jest to stworzenie listy 101 celów (lub więcej, SKY IS THE LIMIT), które chcesz osiągnąć zanim umrzesz. Na te cele powinny się składać miejsca, które chcesz odwiedzić, ludzi których chcesz spotkać lub poznać, również uczucia, które chcesz przeżywać, co chcesz zrobić, mieć, nauczyć się. Podczas zapisywania tych celów, weź pod uwagę wszystkie sfery swojego życia: Edukacja, Kariera, Zdrowie, Relacje z innymi, Finanse, Cele osobiste, Wpływ na życie innych, Relaks i Odpoczynek.

Wpisz na listę również rzeczy, które w chwili obecnej wydają Ci się szalenie odległe, bądź też wogóle niemożliwe na dzień dzisiejszy z Twojego punktu widzenia. Po spisaniu tych celów, postaraj się uporządkować je w hierarchii ważności, podkreśl je swoim ulubionym kolorem. Zwracać na nie będziesz teraz inną uwagę. Zastanów się, co możesz zmienić w dotychczasowym kieracie codzienności by je do siebie przybliżyć. Daj sobie słowo, że będziesz tę listę przeglądać co tydzień, by móc określić jak Twoja lista się zmienia, jeśli masz ochotę, zrób zmiany na liście. Jeśli będziesz się rozwijać i dążyć do swoich celów, gwarantuję Ci, że uświadomisz sobie, że zaczęły Cię spotykać sprzyjające okoliczności, które zbliżają Cię do wybranego celu.

To może być książka polecona przez kogoś, strona internetowa, człowiek którego wiedza być może będzie dla Ciebie formą Oświecenia. Jednak nic nie dzieje się bez naszego udziału, **Twoje Zaangażowanie i Chęci są tutaj jak najbardziej niezbędne.**

Postaraj się każdego dnia zrobić choć malutką rzecz lub czynność, która w jakimś stopniu przybliży Cię do realizacji wybranej pozycji z listy. Gdy osiągniesz cokolwiek ze swojej Magicznej Listy, zanotuj dzień i datę lub wyróżnij ten punkt w swój ulubiony sposób. Choć na razie pewnie śmiejesz się, i nie masz pojęcia jak osiągniesz niektóre z nich, otwórz się na nowe możliwości.

Kiedyś będziesz dokładnie wiedziała jakie kroki przedsięwziąć by osiągnąć każdy z nich.

Na koniec - nie należy się wykrecać brakiem czasu. Mamy go dokładnie tyle samo co Mikołaj Kopernik, Maria Curie-Skłodowska, Eddison czy Einstein.

Kolejna sprawa- brak finansów. Poniżej podaje adresy stron, na których po zalogowaniu możecie otrzymać darmowe szkolenia internetowe, newsletters, ebooki i niezliczoną bezcenną wiedzę.

Trzeba tylko chcieć! CHCIEĆ TO MÓC!
www.bogatakobieta.pl
www.bogatyojciec.pl
www.briantracy.pl
Metoda 101 pochodzi ze strony:
www.artelis.pl

A to Polska właśnie

Madame Poldowski - zapomniana kompozytorka

IRENE STURM | Los Angeles

Najmłodsza córka skrzyp -mistrza „poety skrzypiec" Henryka Wieniewskiego i Izabeli Hampton siostrzenicy irlandzkiego kompozytora i pianisty George Osborne'a, przyszła na świat w Brukseli w maju 1879 roku, na krótko przed śmiercią swojego ojca, który zmarł na zawal serca w Moskwie, gdzie w tym czasie koncertował. Dziewczynka zgodnie z wolą jej ojca otrzymała na chrzcie Regina po matce swojego ojca Reginie Wolff, córce warszawskiego doktora, a na drugie Irene bo takie było życzenie jej matki.

Regina fascynowała się muzyką od dziecka. Pierwszych lekcji gry na fortepianie udzielała jej domowa guwernantka. Już w wieku 12 lat została przyjęta do konserwatorium w Brukseli. Następnie kontynuowała naukę w Paryżu i Londynie, dokąd udała się w roku 1896 wraz ze swoją matką. Pierwsze kompozycje jakie wyszły spod jej ręki ku zdziwieniu całej rodziny nie opublikowała pod nazwiskiem Regina Wieniawski, tylko „Irene Wieniawski", bowiem jak twierdziła to nigdy nie przepadała za imieniem swojej babki Regina i dlatego zaniechała je używać.

W Londynie podczas jednego z koncertów Dame Nellie Melba australijska solistka operowa przedstawiła pannę Irene Wieniawskiej, Sir Dean Paul'owi, który był potomkiem pierwszego księcia Marlborough. Jak opowiadali przyjaciele i znajomi to była „miłość od pierwszego wejrzenia". Ślub Sir Aubrey'a Edwarda Henrego Dean'a Paul'a, piątego baroneta z panną Ireną odbył się w Londynie w 1901 roku. Lady Dean Paul jak ja nazywano w towarzystwie przyjęła obywatelstwo angielskie, ale nadal pod jej kompozycjami nie widniało nazwisko jej męża, choć miała do tego takie prawo, tylko „Irene Wieniawska".

Irena Regina Wieniawska (Lady Dean Paul, Poldowski)
polska kompozytorka i pianistka
Ur. 16 maja 1879 w Ixelles, zm. 28 stycznia 1932 w Londynie | Foto: Wikipedia

Mieli trójkę dzieci, ale przedwczesna śmierć pierworodnego syna doprowadziła do rozpadu małżeństwa. Po tym bolesnym fakcie kompozytorka nie spoczęła na laurach, dalej komponowała. Jej muzyka rozbrzmiewała w salonach i na scenach koncertowych całej Europy. Słuchacze chwalili jej kompozycje jako „szczególne" ze względu na rzadko spotykaną oryginalność, świadczącą o jej wyjątkowej indywidualnej osobowości.

Zapewne słysząc tu i ówdzie tak pochlebne opinie królowa belgijska Elżbieta, żona Alberta I wyraziła pragnienie, aby usłyszeć artystkę. W roku 1912 Irene Wieniawski zaprezentowała Najjaśniejszej Pani swoje kompozycje.

Po separacji ze swoim mężem kolejną niespodzianką kompozytorka zaniechała używać swojego panieńskiego nazwiska Irene Wieniawska, a w zamian wszystkie swoje kolejne kompozycje zaczęła podpisywać pseudonimem „POLDOWSKI". Zapytana, dlaczego tak a nie inaczej odpowiedziała, że w ten sposób chciała by potwierdzić dla niej bardzo istotny fakt a mianowicie że nigdy nie wyrzekała się ani nie zapomniała o swoich polskich korzeniach.

Po sfinalizowaniu rozwodu ze swoim mężem w 1921 roku, aby zapomnieć, jak twierdziła „zły sen" ponownie rzuciła się w wir pracy. Komponowała, koncertowała w Europie a po koncercie w Hiszpanii otrzymała od króla i królowej diamentowa bransoletkę.

„Madame Podlowski", jak ja pospolicie w towarzystwie nazywano, niespodziewanie zachorowała na zapalenie płuc i choć poddała się operacji usunięto jej jedno płuco, zmarła w 1932 roku i została pochowana na cmentarzu Brookwood w hrabstwie Surrey.
Regina Irene Wieniawska – „Madame Poldowski" była utalentowaną kompozytorką pieśni, które były popularne nie tylko w Europie, ale także w USA. Ona sama była podziwiana i oklaskiwana gdziekolwiek nie występowała, ale choć bywała w „wielkim świecie" to nigdy nie zapomniała o tym, że jej rodzinne korzenie wywodzą się ze słowiańskiego kraju leżącego nad Wisłą.

Herbata czy kawa?

Wybory

WALDEK TADLA

O Polakach w Polsce

No proszę Państwa, proszę Państwa aż w końcu stało się... i mamy dyplomatyczną aferę. Otóż wielce czcigodny pan Joe Biden, podczas debaty prezydenckiej zapomniał założyć „błotników politycznej poprawności" i tak chlapnął, że na Polakach suchej nitki nie zostawił. Z jego wypowiedzi jednoznacznie wynika, że leżący nad Wisłą kraj ma dyktatorskie zapędy i jest czymś na wzór łukaszenkowskiej Białorusi. Doprawdy, aż tak źle? Zawsze myślałem, że jest lepiej. Wszak my - lojalni sojusznicy, ginący w walkach afgańskiego frontu, oferujący na własnej ziemi miejsce amerykańskim bazom - dostaliśmy klapsa. No cóż tak też bywa. Jednak za nim zaczniemy się obrażać i oburzać na słowa wielce czcigodnego polityka, przyjrzyjmy się dokładniej sobie samym.

Być może jest coś, czego nie widzimy? Jeżeli tylko staniemy po właściwej stronie lustra to z łatwością zweryfikujemy każdy osąd. Nawet ten błędny. Natomiast jeżeli rzeczywiście jesteśmy tylko iluzją (odbiciem oryginału) to na racjonalną weryfikacje nie będziemy mieli wewnętrznego potencjału. Będzie on bezdusznie pustą próżnią, podobną do odbicia rozmazanego wizażu upadłego dyktatora.

Kto to jest dyktator? Jest to osoba, którą targają dwie rządze: rządza władzy oraz rządza pieniądza. W praktyce ta druga wynika z tej pierwszej. Dlatego „po trupach do celu" doktryna jest w jego życiu tak bardzo ważna. Czym dłużej jest się przy władzy, tym większy finansowy profit i jeszcze większy władczy splendor.

Aby zostać dyktatorem należy najpierw rozbroić bezpieczniki demokracji. Jednym z nich jest dwu-kadencyjność. Jeżeli osoba dzierży funkcje społeczną więcej niż konstytucyjnie zapisane dwie kadencje, to znaczy, że przeszła już dyktatorski chrzest. Tak zwane „przywiązanie do koryta" jest jak nałóg, który zabija wszelką uczciwość i moralność. Oczywistym jest fakt, że wciąż chce się więcej, więcej i więcej. I aby to osiągnąć stosunkowo szybko rodzi się prymitywna manipulacja. Jej docelową konsekwencją będzie obejście lub zmiana konstytucji tak aby dyktatorski byt mógł trwać w nieskończoność. Klasycznym zabiegiem utrzymania władzy jest podstawienie tzw.: „słupa" czyli osoby, której twarz nie skalana jest myśleniem, a rozbiegane oczy stale poszukają rozumu. 7 maja 2008 *Władimir Władimirowicz Putin* przekazał stanowisko prezydenta Dmitrijowi Anatoljewiczowi Miedwiediewowi. Tego samego dnia Miedwiediew przedstawił kandydaturę Putina na stanowisko premiera. Aby 4 marca 2012 roku ponownie mógł on być wybrany na prezydenta Federacji Rosyjskiej. Ten prosty trick „na słupa" powtarzany jest przez kolejnych, rządnych władzy dyktatorów. I tak, Władimir Władimirowicz dzierży prezydenckie berło przeszło 20 lat. W Europie bije go jedynie Alaksandr Ryhorawicz Łukaszenka, którego białoruska prezydentura trwa lat 25.

Odpowiedź na pytanie „jaka to jest prezydentura?" zależy od osób, których się spytamy. Na przykład wielce czcigodny pan Joe Biden uważa, że jest to prezydentura, na której wzorują się Polacy. A teraz zejdźmy na ziemię… Ogólnie można powiedzieć, iż najbliższy krąg dyktatorski żyje w stałym uzależnieniu i strachu. Dlatego nigdy nie będzie on krytykował tyrana. Troszeczkę dalej, bo w drugim kręgu dyktatorskim żyje opozycja, która jest z reguły największą ofiarą reżimu. Ludzi tych systematycznie się niszczy i nie dopuszcza do głosu, aby uniemożliwić im przejęcia władzy. Trzeci krąg dyktatorski to ludzie najmniej zorientowani. Będący najbardziej pożądanym celem - „pozytywnego" wizerunku despoty. I tak, z okazji jubileuszu 25-lecia prezydentury Łukaszenki białoruskie media pokazały jego podróże zagraniczne. Zdjęcia z prezydentem Barackiem Obamą i papieżem Franciszkiem w Watykanie miały być dowodem na to, że dyktator jest szanowanym i poważanym gościem. Jak widać manipulacja nie zna żadnych świętości. A co bardziej zdesperowani wciągają w nią nawet boga. Oczywiście tego, pisanego małą literą, ponieważ litera duża zarezerwowana jest tylko dla nich.

Zimna i bezwzględna Caryca Katarzyna (1729-1796) zagrała też „kartą boską" i przeszła na prawosławie, aby się przypodobać i zyskać posłuch ludu. Przejęła władzę po swoim mężu carze Piotrze III, który zmarł w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach. Nie było to jednak wielką tajemnicą, że zamachu stanu dokonała jego niedoceniana małżonka. Aby w końcu być docenioną. W wyniku tego samodzielnie zasiadała na tronie przez następne 34 lata. Jednym z wielu „chlubnych dokonań" był jej aktywny udział w kolejnych rozbiorach Polski.

Klasycznym przykładem despoty niech będzie również Józef Stalin (1878-1953). Ale o nim nic nie napiszę oprócz tego, że każdego złoczyńcę można poznać po jego ofiarach. Uczciwy Człowiek ofiar nie ma. Czy Ty takowe masz? Dyktatorzy wierzą w swoją nieomylność dlatego uważają, że powszechnie obowiązujące zasady ich nie dotyczą. Co więcej sądzą, że to właśnie oni tworzą nowy ład, który przywraca porządek i ludzkie szczęście. A gdy lud pluje im w twarz to mówią, że deszcz pada. Zimnokrwiście rozprawiają się z rodakami. Szczują ich adwokatami, policją i wojskiem, aby tylko ich zastraszyć i skutecznie odebrać chęć do dalszej walki. Niezależenie od tego jak podły i przebiegły będzie człowiek pragnący stanąć na czele autorytatywnego rządu, aby to osiągnąć będzie potrzebował sprzyjających czynników zewnętrznych.

Jak pokazuje historia, tego typu jednostki triumfują w czasie kryzysów gospodarczych, kiedy ich idee i tezy znajdują posłuch wśród ludzi zdesperowanych, prostych i niemądrych. Bo tylko takie jednostki potrafią podporządkować się despocie, którego główną charakterystyką jest: brak uczuć wyższych, instrumentalne traktowanie innych oraz zimne relacje interpersonalne. Narcyzm. Dyktator skutecznie manipuluje własnym otoczeniem, chcąc osiągnąć zysk tylko i wyłącznie dla siebie. Zupełnie nie liczy się z potrzebami innych. Jest nieufny i jednocześnie lekceważący. Posługuje się kłamstwem i oszustwem. Kieruje się egocentryczną motywacją i nie posiada etycznego kręgosłupa. Samozwańczy pozorant nie radzi sobie w życiu realnym - gdyż takowego nie posiada. Jest tylko po trupach do celu pęd ku władzy. Dlatego maskuje się oraz stale udaje, że jest inaczej; epatuje swoim wyimaginowanym - sukcesem, pozytywnym wizerunkiem oraz finansowym bogactwem. Dzięki temu osoby z jego najbliższego kręgu narażone są na stały psychiczny stres, dyskomfort i zażenowanie. A gdy się tylko sprzeciwią automatycznie stają się ofiarami oraz obiektywnym świadectwem smutnej prawdy.

Fragment obrazu Henryka Siemiradzkiego pt.: *Pochodnie Nerona*, namalowany w 1876 roku w Rzymie. Dzieło przedstawia scenę z czasów Cesarstwa Rzymskiego, za panowania wielkiego despoty i tyrana Nerona. W 64 roku wybuchł Wielki Pożar Rzymu, o co Neron oskarżył chrześcijan, którzy schwytani zostali przywiązani do pali w ogrodach słynnego Domus Aurea. Na obrazie uchwycony jest moment oczekiwania cesarza znoszonego ze schodów na lektyce i jego świty na rozpalenie pochodni z pojmanych męczenników. Obraz w zbiorach Muzeum Narodowego w krakowskich Sukiennicach.

Osobiście nie dziwię się pozorantom, manipulantom czy też dyktatorom. Ich toksyczny stan świadomości można traktować jako psychiczną przypadłość. To już się raczej nie zmieni, muszą w tym trwać. Jednak co wprawia mnie w ogromne zakłopotanie to ludzie, którzy naiwnie wynoszą dyktatorów do władzy… Powiedziawszy to, należy jednoznacznie stwierdzić, iż czcigodny pan Joe Biden niesłusznie porównał rząd Polski do rządu Białorusi. Nie mamy zapędów totalitarnych, ani nie mamy też dyktatora. Dopóki dwu-kadencyjność prezydencka trwa i terroru politycznego jest brak, możemy spać spokojnie.

O Polakach w Ameryce

No proszę Państwa, proszę Państwa aż w końcu stało się... i mamy polonijną aferę. Otóż wielce czcigodny pan Joe Biden, w obszernym wywiadzie dla New York Times'a z dnia 17 stycznia 2020, zapomniał założyć „błotników politycznej poprawności" i tak chlapnął, że na Polonusach suchej nitki nie zostawił. Powiedział, że przestał chodzić do polsko-amerykańskiego klubu, sugerując, że obecnie kontaktuje się tylko z mądrymi ludźmi. Hmm? Doprawdy tak powiedział? Zawsze myślałem, że jest dużo lepiej, a kawały o Polakach to tylko mroczna przeszłość. No cóż, widocznie się myliłem i znowu… dostałem klapsa. Jednak za nim zaczniemy się obrażać i oburzać na słowa wielce czcigodnego polityka, przyjrzyjmy się dokładniej sobie samym. Być może jest coś, czego nie widzimy? Jeżeli tylko staniemy po właściwej stronie lustra to z łatwością zweryfikujemy każdy osąd. Nawet ten błędny. Natomiast jeżeli rzeczywiście jesteśmy tylko iluzją (odbiciem oryginału), to na racjonalną weryfikację nie będziemy mieli wewnętrznego potencjału. Będzie ona bezdusznie pustą próżnią, podobną do odbicia rozmazanego wizażu ludzi, z którymi w polsko - amerykańskim klubie nie chce spotykać się wielce czcigodny pan Joe Biden. Aby nie być posądzonym o dyktatorskie manipulacje załączam oryginalny wycinek wywiadu dla pisma New York Times:

„Mr. Biden considered a presidential run in 2016, but when he announced he would not in 2015, he helped clear the path for Mrs. Clinton's nomination. He then campaigned for Mrs. Clinton in a number of states including in his hometown Scranton, Pa.

Well, look what's happened. Look what started to seep in, beginning and probably even with candidates during our administration. We stopped showing up at the Polish American club. ***We stopped showing up, and we all went to you, the really smart people. We had a new kind of coalition we were putting together.*** *College-educated women and college men and boom, boom, boom and so on".*

Co to jest polsko - amerykański klub?

O historii i misji Polskiego Klubu w Denver w latach 1950–2005 tak opowiada Barbara Popielak:

„Polski Klub w Denver skupia ludzi polskiego pochodzenia lub spokrewnionych z nimi przez małżeństwo. Poprzez dziesiątki lat, a szczególnie po zakończeniu II Wojny Światowej, wielu Polaków zmuszonych było emigrować do Stanów Zjednoczonych szukając wolności i możliwości rozpoczęcia nowego życia. Kilkadziesiąt rodzin przybyło do Denver. Początki dla emigrantów nie były łatwe. Trudno było znaleźć kontakt z innymi Polakami. Jeszcze trudniej pracę, szkołę dla dzieci i porozumieć się nie znając angielskiego języka. Grupa Polaków w Denver pod kierunkiem Franciszka Chojnackiego znalazła sposób, aby pomóc nowoprzybyłym krajanom. Pierwszym krokiem było zorganizowanie Polonii Denver. 25 maja 1950 roku w ‚Denver Post' zamieszczono ogłoszenie, iż w najbliższą niedzielę Polacy są zaproszeni do restauracji Edelweiss (Szarotki) - tradycyjnego miejsca dotychczasowych spotkań. To był początek Klubu Polskiego w Denver. Celem Klubu było podtrzymywanie polskich tradycji i obyczajów, pielęgnacja ojczystego języka, pomaganie Polakom w asymilacji w nowym kraju oraz pomoc w uzyskiwaniu amerykańskiego obywatelstwa. Starsi członkowie Klubu pomagali nowoprzybyłym w nauce języka angielskiego. Wielu z nich było świadkami na uroczystości nadania obywatelstwa podopiecznym. Spotkania Klubu cechowało głębokie poczucie braterstwa. ***Nadzieją organizatorów klubu było, iż ta braterska więź będzie w naszym Klubie trwała na zawsze*** *(…)".*
Źródło: www.polishclubofdenver.com.

No proszę Państwa, proszę Państwa nasz wielce czcigodny pan Joe Biden najpierw przypisuje Polakom skłonności do dyktatorsko-totalitarnego rządzenia, a potem sugeruje, że w polsko-amerykańskim klubie nie ma mądrych ludzi. Czy jest coś, co wie o nas Joe Biden – czego my nie chcemy wiedzieć o sobie?

Fundacja Cancer Fighters

Kolorado dla Cancer Fighters w Polsce

KASIA SUSKI

Kiedy wchodziliśmy w 2020 rok miałam wielką wizję naszej pięknej i jakże zgodnej Koloradowskiej polskiej Polonii. Piękna wizja przerodziła się w piękną rzeczywistość i po raz kolejny wspólnie stanęliśmy na wysokości zadania. Solidarność i chęć pomocy tym, którzy jej potrzebują przeszła moje oczekiwania.

z logo Kolorado by te zostały przekazane dzieciom, które przeszły chemioterapię. Zebraliśmy ponad 60 czapek, które wraz z kwotą pieniężną trafiły na ręce niezmiernie szlachetnego człowieka o wielkim sercu, przyjaciela chorych dzieci - założyciela Fundacji Cancer Fighters - Marka Kopyścia.

Wspólnie z Markiem cieszyliśmy się z hojności

czapek, które symbolizować będą nas wszystkich dobrych ludzi, którzy wsparli swoją miłością tych, którzy są naszą przyszłością. Nieśmy pomoc i bądźmy przykładem, niech dobroć łączy i pozwala nie tylko w sobie czuć się dobrze ale daje radość tym którzy tej pomocy potrzebują najbardziej.

Chciałabym bardzo serdecznie podziękować

obdarował mnie też anonimowy darczyńca który okazał się aniołem. Dziękuję w swoim imieniu oraz imieniu wszystkich dzieci za Waszą pomoc jesteście jedyni w swoim rodzaju, niezastąpieni i to co najważniejsze - zaufaliście mi abym mogła poprowadzić Wasze serca do odległej Polski i przekazać je tym wszystkim dzieciaczkom i pokazać im, że Kolorado ich wspiera dopinguje i oferuje

Październik 2020, w siedzibie Fundacji Cancer Fighters w Gorzowie Wielkopolskim: Kasia Suski z córką Emilką i Markiem Kopyściem

Emilka dumnie reprezentuje Polonię z Kolorado!

Po raz drugi wspólnymi siłami zebraliśmy pieniądze dla zaprzyjaźnionej już z nami nie profitowej Fundacji Cancer Fighters z Polski, która pomaga chorym dzieciom zmagającym się z nowotworami. Zebraliśmy ponad 3500 dolarów. Zaznaczam zebraliśmy! Mało tego, poparliście pomysł zbioru czapek

Polonii z Kolorado, wielkości Waszych serc i z bycia cudownym przykładem, że pomoc drugiemu jest rzeczą naturalną. Pieniążki trafiły do skarbca fundacji i zostaną przekazane na cele leczenia dzieci - Małych Wojowników, jak ich fundacja nazywa. Podopieczni otrzymają upominki w postaci

Ewelinie i Sławomirowi Kędzierskim za ich wielką hojność, za dobroć, za ciepło serca, za pomoc albowiem przekazali bardzo dużą sumę pieniężną dla małych wojowników z Fundacji Cancer Fighters. Niech dobro i zdrowie będzie z Wami! Jesteście niezawodni. Ogromnym wzruszeniem

swoją przyjaźń.

Chciałabym też wspomnieć, że przekazałam na ręce Marka Kopyścia koszulki, które w tamtym roku podpisywaliśmy podczas naszej hucznej biesiady z okazji 10-lecia istnienia gazety Życie Kolorado.

Fundacja Cancer Fighters

Z wielką radością chciałabym również poinformować, że fundacja obchodziła ostatnio swoje 5 urodziny. W związku z czym podopieczni fundacji otrzymali prezenty, do których naszą hojnością przyczyniliśmy się wspólnie. Nasze wspólne dwie ostatnie akcje zbierania pieniążków dla dzieci z Polski okazały się przepięknym odzwierciedleniem naszych wielkich rozgrzanych do czerwoności serc. Jestem pewna, że przed nami jeszcze gro takich akcji.

Warto wiedzieć, że w fundację Cancer Fighters w Polsce angażuje się m.in. wielu znanych ludzi ze świata sportu - Joasia Jędrzejczyk, Jan Błachowicz, Sylwia Szostak, Michał Materla aby wymienić kilku. Oni są tzw. ambasadorami fundacji i przyjaciółmi chorych dzieci - zobaczcie stronę: www. cancerfighters.pl/ambasadorzy.

Mówią o nas nie tylko tutaj w Stanach ale głośnym echem odbijamy się również w Polsce. Było mi bardzo przyjemnie rozmawiać z Markiem Kopyściem założycielem Fundacji Cancer Fighters i usłyszeć wzruszające słowa pod naszym adresem. Nie lubię rozgraniczać ja - wy. Jesteśmy my, my wszyscy! Z ogromną pokorą dziękuję Wam wszystkim raz jeszcze za przepiękne bycie tym kim jesteście, bo dzięki nam dzieci, które chorują mogą odczuć że oprócz rodziny, najbliższych przyjaciół mają też oparcie w nas, ludziach zupełnie przez nich nieznanych, zamieszkałych w odległym kraju a jednak chcących nieść pomoc w zupełnie bezwarunkowy sposób.

Miejmy nadzieję, że dzieci będą zdrowieć, że będą zmieniać świat na lepszy będą naszą przyszłością, będą mogły uczyć innych jak być dobrym jak przezwyciężać słabości, zło, jak być zwycięzcą. Z wielkim wzruszeniem przekazywałem zebraną w Kolorado kwotę pieniędzy i z ogromnym zadowoleniem ściskałam dłoń Marka i z wielką dumą reprezentowałam Was wszystkich podczas spotkania w biurze Fundacji Cancer Fighters.

Muszę też uwzględnić obecność mojej córki Emilki ponieważ ona ma zaledwie 8 lat, a tak bardzo rozumie niekoniecznie sprawiedliwy świat który ją otacza. Doskonale wie co to jest choroba ponieważ ściera się z nią w dniu codziennym i widzi dni kiedy jej mama boryka się z trudnościami bólu. Otóż Emilka w pewnym siebie głosem przekazała wiadomość którą sama wymyśliła: “Chciałabym byś powiedział wszystkim chorym dzieciom, że życzę im aby szybko wróciły do zdrowia i były zdrowe. Bardzo je pozdrawiam i ściskam, może kiedyś z nimi się pobawię - dlatego muszą być zdrowe.”

Taka mała a taka mądra. Jestem dumna, że jestem mamą takiej małej a jednakowo dojrzałej dziewczynki. Kochani, powielajmy dobro, bo warto bez względu gdzie ono pójdzie czy to Polska, USA, Afryka czy też inny zakątek świata. Nieśmy dobro, bo dobro wraca opłaca się być dobrym i czekać na owoce tego dobra w teraźniejszości lub krótkiej przyszłości. Dziękuję wam z całego serca za pomoc, dziękuję, że jesteście tacy jacy jesteście!

Zapraszam wszystkich zainteresowanych finansowym wsparciem dzieci chorych na nowotwory do odwiedzenia strony internetowej: www.cancerfighters.pl. Można tam dokonać szybkiej i bezpiecznej wpłaty pieniężnej w celu wsparcia fundacji.

Kłaniam się nisko i życzę Wam wszystkim **zdrowia,** bo bez niego tak naprawdę nic nie jesteśmy w stanie uczynić, szanujmy siebie nawzajem szanujmy nasze zdrowie. Opiekujemy się sobą tak jak najlepiej umiemy. Ze wzruszeniem jeszcze raz akcentuję słowo **“dziękuję”**. Do zobaczenia w niedalekiej przyszłości i mam nadzieję, że na niejednej wspólnej akcji w dobrym celu.

kasiacol@gmail.com

R E K L A M A

ma
midamerica
LENDERS

POŻYCZKI NA ZAKUP REAL ESTATE

Robert Kozina
Mortgage Banker

Kupno domu od 3% wpłaty
Dla właścicieli biznesów - pożyczki na domy tylko z jednym rokiem rozliczeń
Niskie procenty, specjalistyczny serwis
BEZPŁATNE KONSULTACJE

1001 16th St
Denver, CO 80265
zadzwoń już dziś
773-991-3608

KUZBIEL
INSURANCE BROKERS
“Jestem kiedy potrzeba”

Oferuję swoje usługi w zakresie bezpłatnej konsultacji i wyceny polis ubezpieczeniowych dla Klientów indywidualnych i komercyjnych

- Profesjonalna pomoc i doradztwo w szukaniu i kompozycji polis dostosowanych do indywidualnych potrzeb klientów.
- Szeroka oferta spośród ponad 20 firm ubezpieczeniowych pozwala na znalezienie najlepszej cenowo oferty dla każdego.
- Wieloletnie doświadczenie i referencje.

Daniel Kuzbiel

720.351.2066
1930 Sherman Street | Denver, Colorado 80203
Email: daniel@kibins.com

Filmowe rekomendacje Piotra

An answer to the question

– Which did you like better – the Book or the Film?

PIOTR GZOWSKI

Throughout the history of American movies, one of the most common motifs has been the adaptation of classic novels into film. *Moby Dick, Doctor Zhivago, Gone With the Wind, To Kill a Mockingbird,* and *One Flew Over the Cuckoo's Nest* , among others, all have been converted from the page to the screen. What commonly accompanies these adaptations are discussions whether the film versions do justice to the originals, more commonly expressed as the question – "Which did you like better?"

Quite recently, Netflix released a film series titled *Ratched,* starring Sara Paulson, based on the character of Nurse Pratched from Ken Kesey's classic novel *One Flew Over the Cuckoo's Nest* (published in 1962, converted to a stage play in 1963 and the released as a film in1975). It is a somewhat curious and disturbing piece of work which concentrates on the backstory of the most iconic villains in literature. It was the topic of a recent telephone regarding the value of adapting original materials to other media.

> **In my experience, reading a novel as opposed to watching a film is completely different. Each experience has its own unique method of comprehension. While reading the prose, the physical image of a character is created in tandem the imagination, the perspective of the plot is defined by the structure of the narration (the story in Kesey's novel is narrated by the Native-American inmate, Chief Bromden; in the film the Chief just is a character among others) , and the nuances of the novel's physical environment are shaped by personal experience, practical or imagined.**

Film, on the other hand, by-passes all those steps. It is a process of immediate perception rather than formulated imagination. Rather than an intellectual process, it is instead a voyeuristic encounter with the story. Consequently, the emotional impact of the film is reactive rather than residual. Personally, to pass a value judgement of one medium against as better or worse seems counterproductive; especially, when both works are admirable.

My first exposure to Ken Kesey's novel was in high school during the Kennedy era. Kesey's was considered one of the leading literary figures of the Beat Generation and *One Flew Over the Cuckoo's Nest* appealed to the sensibilities of a young teenager as a literary alternative to Faulkner, Hemingway and Scott Fitzgerald, all whose works were admired, but seemed out of sync with the times. Sometime later, the novel appeared on the syllabus the Modern American Literature syllabus at Fordham College where it enthusiastically received, because it appealed to the intellectual rebelliousness of the time Nearly a decade later, during the height of the Disco Era, the enthusiasm carried forward when Milos Forman released the film version starring Louise Fletcher as Ratched, and Jack Nicholson as the protagonist McMurphy (both of whom received Oscars for their performances). Therefore, when someone asks me which I like better, the book or the film, my answer is always "Yes". To score one above the other would be incongruous because both experiences were personally rewarding.

> **The real issue is whether the work itself has any personal value. If one finds himself/herself unable to continue past the first chapter of a novel, or refusing to watch a film to its conclusion, then, at those moments, its valid to say that the work itself was unappealing. Both opinions may change with later encounters, but at least they are evaluated on their own merits. The real issue is that audiences, both literary and cinematic, tend not to give themselves the credit they deserve in judging a work by its own merits.**

Gone With the Wind (although politically controversial currently) was both a great novel and film*; Doctor Zhivago* is a heart-wrenching novel and visually one of the most beautiful films made; *To Kill a Mockingbird* deserved a Pulitzer Prize and an Academy Award; and, *One Flew Over the Cuckoo's Nest* has rightfully earned its reputation as one of the greatest books in American fiction, and a timeless motion picture. Therefore, to argue whether the book or the film is better or worse seems to negate the value of both media. It denies the reader/viewer the pleasure of experiencing the work and relegates the work to an arbitrary report card where taste is dictated rather than developed.

This, of course, dear reader, as always, is just my opinion. Read the books, see the films, and then judge for yourself.

Parafia pw. św. Józefa w Denver

Na kogo głosować?

KSIĄDZ STANISŁAW MICHAŁEK SCH

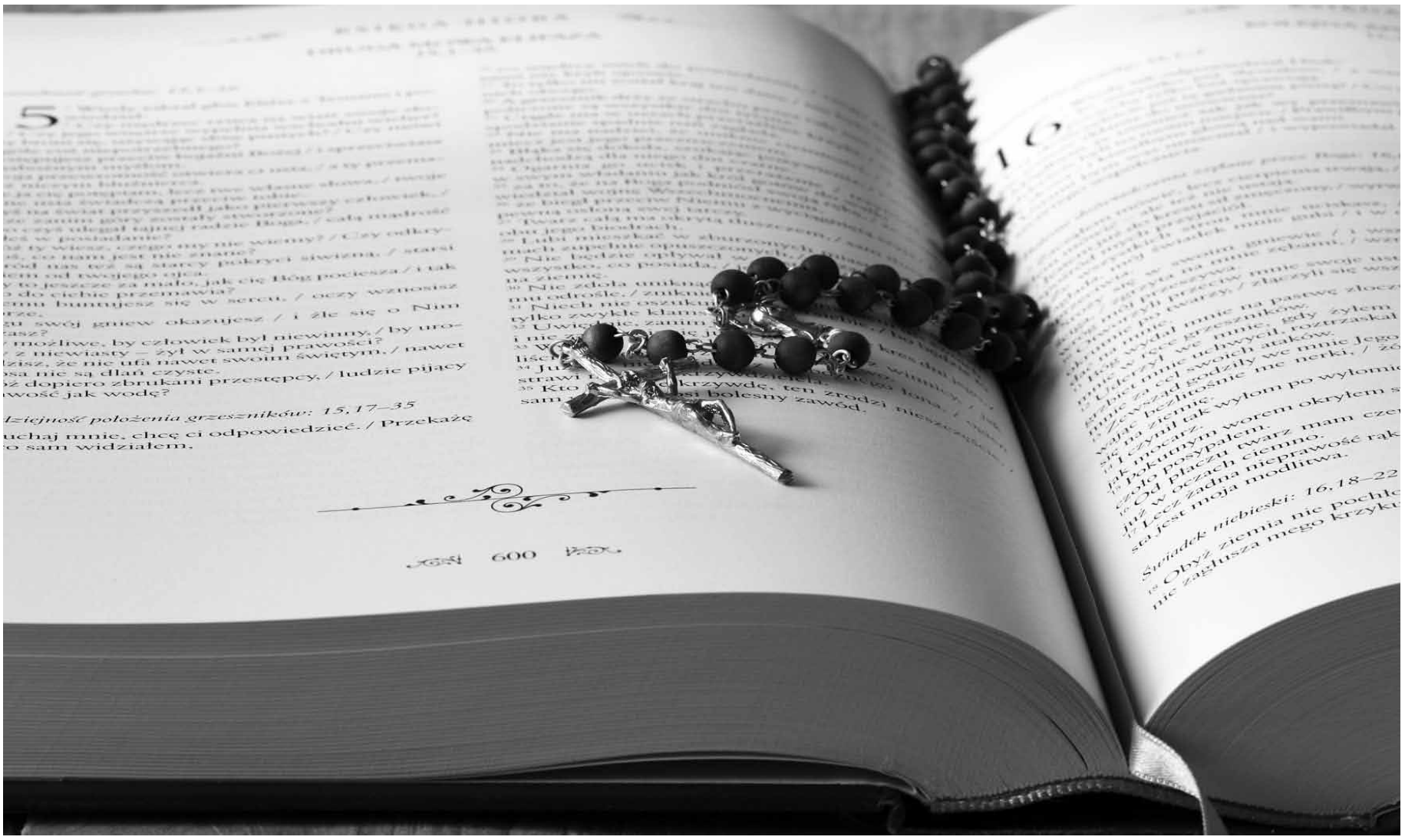

Na kogo głosować... Czy te trzy słowa przyciągną Twoją uwagę? Cóż, nie pojadę tak daleko. Ale chciałbym napisać kilka słów o niektórych sprawach chrześcijanie powinni wziąć pod uwagę, gdy myślą o tym, czy głosować i na kogo powinni głosować. Aby uzyskać na ten temat więcej informacji można przeczytać 53-stronicowy dokument - Forming Consciences for Faithful Citizenship wydany przez Konferencję Amerykańskich Biskupów (w cudzysłowie zacytuję niektóre stwierdzenia z tego dokumentu), który można znaleźć na stronie internetowej USCCB.

Głosowanie daje osobie możliwość wprowadzenia wspólnego dobra. Ogólnie rzecz biorąc, jest to coś pozytywnego.

Wyjątkiem może być, gdyby wszyscy kandydaci popierali z samej istoty rzeczy złe czyny. Gdyby tak było, głosowanie może być po prostu popieraniem zła bez względu na kogo się głosuje. “Są pewne rzeczy, których nigdy nie wolno nam robić, jako jednostkom lub jako społeczeństwu, ponieważ są one zawsze niezgodne z miłością do Boga i bliźniego. Te z natury złe czyny zawsze muszą być odrzucane i nigdy nie popierane”.

Jakie czyny są z natury złe? Należą do nich “aborcja, eutanazja, klonowanie człowieka i zgubne badania na ludzkich zarodkach”. Ponadto, “ludobójstwo, tortury, rasizm i akty terroru lub wojny wobec bezbronnych , nigdy nie mogą być usprawiedliwione”. Gwałty, morderstwa, cudzołóstwo, małżeństwa osób tej samej płci, akty homoseksualne, oglądanie pornografii, masturbacja, zapłodnienie in vitro i krzywoprzysięstwo są również z natury złe.

Oczywiście, w porównaniu poglądów kandydatów i potencjalnego skutku ich decyzji z uzyskanego urzędu, ważne jest, aby pamiętać, że niektóre z natury złe czyny powodują gorsze szkody niż inne, czy to ze względu na charakter czynów, lub ze względu na to, jak wielu osobom zaszkodzą.

Załóżmy, że dwóch kandydatów ma identyczne poglądy na temat z natury złych czynów, lub że jeden popiera złe czyny A, B i C, a drugi wspiera, złe czyny D, E i F, i masz problemy z podjęciem decyzji. Kogo więc z nich możesz wybrać? Ważne jest, aby pamiętać, że są też grzechy zaniechania. Na przykład grzechem jest zaniedbywać tych, którzy poważnie potrzebują podstawowych środków do życia, kiedy możemy im łatwo pomóc.

Błędem jest również odmawianie praw człowieka. “Każda istota ludzka ma prawo do życia, podstawowe prawo, które umożliwia wszystkie inne prawa. Każdy z nas ma prawo do wolności religijnej, która pozwala nam działać w zgodzie z godnością daną przez Boga, a także prawo do dostępu do rzeczy wymaganych dla ludzkiej przyzwoitości - żywności i schronienia, wykształcenia i zatrudnienia, opieki zdrowotnej i mieszkania. Odpowiadające tym prawom są nasze obowiązki i odpowiedzialność— dla siebie nawzajem, dla naszych rodzin i dla całego społeczeństwa”.

Poglądy kandydatów w odniesieniu do tych obowiązków i odpowiedzialności nie są bez znaczenia.

Gdy zastanawiamy się na kogo zagłosować, ważne jest, aby nie tylko patrzyć do jakiej partii ta osoba należy, albo też czy lubimy osobowość tej osoby, lub jak “czujemy się” głosując na nią. Istotne jest, tak jak przy podejmowaniu każdych ważnych decyzji aby kierować się dobrze ukształtowanym sumieniem.

Kościół pomaga swoim wiernym, aby nie kierowali się emocjami, błędnymi opiniami i krótkowzrocznością, ale aby przy odpowiedzi na ważne polityczne zagadnienia usłyszeli głos prawego sumienia. Jak uczy nas Katechizm Kościoła Katolickiego:

> “Sumienie moralne jest sądem rozumu, przez który osoba ludzka rozpoznaje jakość moralną konkretnego czynu, który zamierza wykonać, którego właśnie dokonuje lub którego dokonała. Człowiek we wszystkim tym, co mówi i co czyni, powinien wiernie iść za tym, o czym wie, że jest słuszne i prawe. Właśnie przez sąd swego sumienia człowiek postrzega i rozpoznaje nakazy prawa Bożego: Sumienie jest prawem naszego ducha, ale go przewyższa; upomina nas, pozwala poznać odpowiedzialność i obowiązek, obawę i nadzieję... Jest zwiastunem Tego, który tak w świecie natury, jak i łaski, mówi do nas przez zasłonę, poucza nas i nami kieruje. Sumienie jest pierwszym ze wszystkich namiestników Chrystusa”.

My, katolicy, mamy zobowiązanie na całe życie, aby kształtować nasze sumienie w zgodzie z ludzkim rozumem, oświeconym nauką Chrystusa, która przychodzi do nas przez Kościół. Niech wszyscy, którzy głosują, użyją takich dobrze ukształtowanych sumień.

Z poważaniem, w Chrystusie, ks. Stanisław

Generacja beatników

Bob Dylan. Like a Rolling Stone

czyli spadaj mała na łeb na szyję

ADAM LIZAKOWSKI | Wrocław

Wśród licznych legend, mitów pół prawd i plotek krążących o Bobie Dylanie, szczególnie symboliczna wydaje się wymiana zdań, między nim a Johnem Lennonem chyba w roku 1964. Muzycy „napaleni trawą", niczym chłopcy w podstawówce, pomiędzy *chichy-śmichy*, zaczęli wymieniać się „uprzejmościami". Dylan zarzucił Lennonowi, że Beatlesi nie mają w swoich tekstach nic do powiedzenia, a ten odwzajemnił się słowami: „Za to ty nie masz brzmienia".

Od tego momentu Dylan zaczął myśleć o grze na gitarze elektrycznej, a także o zespole, z którym mógłby wykonywać swe utwory, a Beatlesi – pisać dojrzalsze teksty nie tylko dla 13 letnich panienek, np. *Love, Me Do*. Piosenkę tę napisał Paul McCartney, gdy miał lat16, czas jej trwania to 144 sekund (2.22 min.) a słowo *LOVE* pojawia się w niej aż 24 razy, co daje średnio, co 6 sekund. W roku 1964 była ona pierwszą na liście przebojów w Ameryce, Dylan bardzo uważniej jej się przyglądał.

Love Me Do

Love, love me do
You know I love you
I'll always be true
So please, love me do
Whoa, love me do 5 x love

Love, love me do
You know I love you
I'll always be true
So please, love me do
Whoa, love me do 5 x love

Someone to love
Somebody new
Someone to love
Someone like you 2 x love

Love, love me do
You know I love you
I'll always be true
So please, love me do
Whoa, love me do 5 x love

Love, love me do
You know I love you
I'll always be true
So please, love me do
Whoa, love me do
Yeah, love me do
Whoa, oh, love me do 7 x love

Niezależnie od tego, czy ta historia jest prawdziwa, czy nie, dobrze ona ilustruje to, że dla Dylana zawsze ważniejsze od muzyki były słowa, przede wszystkim chciał być poetą, a dopiero później muzykiem. Wiele razy mówił: *I consider myself a poet first and a musician second I live like a poet and I'll die like a poet. / Myślę o sobie przede wszystkim jako o poecie, dopiero później o muzyku.* Żyłem jak poeta i umrę jak poeta - powiedział w jednym z wywiadów. (W 2004 r. w artykule w „Newsweek" Bob Dylan został określony, jako „najbardziej wpływowa postać kultury obecnie żyjącą, i nie bez powodu). Ale na muzykę słuchacze bardziej zwracali uwagę niż na słowa. Piosenki dobrze się sprzedają nie dlatego, że mają ambitne słowa, ale dlatego, że łatwo wpadają w ucho i można było je nucić pod prysznicem czy w wannie lub przy goleniu.

Na festiwalu w Newport Folk w 1963 roku przyszły laureat Nobla, został entuzjastycznie przyjęty, wykonał wtedy swój sztandarowy utwór, *Blowin' in the Wind* wspólnie z Joan Baez, Peterem, Paulem i Marią oraz innymi wykonawcami, którzy do nich dołączyli. W roku następnym, podczas Festiwalu Folkowego w Newport w 1964 roku wykonał ballady, które stały się nieodłącznie łączone z przemianami społecznymi lat sześćdziesiątych: *With God On Our Side* i *Mr Tambourine Man*.

Młody Bob Dylan i Joan Baez podczas Marszu na Waszyngton w 1963 roku. Celem tego wydarzenia było wywarcie na rządzie podniesienia płacy minimalnej i zniesienia segregacji rasowej w USA | Fot: Wikipedia

Przez ostatnie miesiące roku 1964 i 1965 zapowiadał zmiany w swoim stylu życia a także w muzyce, co to miało być, wyjaśniło się w wkrótce. Podczas Newport Folk Festival, 25 lipca w 1965 roku poeta wystąpił odmieniony pod każdym względem, wewnętrznie i zewnętrznie. Prasa podała do wiadomości, że; *July 25, 1965 at the Newport Folk Festival, the day when Dylan "went electric."*. Dylan "went electric", co oznacza, że Dylan zastąpił gitarę akustyczną elektryczną, czyli coś się skończyło i coś się zaczęło nowego. Ta zamiana instrumentu długo była komentowała w prasie i wśród jego wiernych wielbicieli. A wszystko zaczęło się w dniu koncertu, wspomnianego już 25 lipca, artysta miał paskudny nastrój, próba z zespołem trwała prawie do piątej nad ranem, a na dodatek, ograniczono czas jego występu, nie zakończył festiwalu jak planowano, ale umieszczono go pomiędzy innymi artystami. Liczniej zgromadzonej publiczności został przedstawiony przez Petera Yarrow'a, ale ta nie zwracała uwagi na to, co prezenter mówił, tłum reagował głośnym szyderstwem, jakby wiedział, co za chwilę się wydarzy, a na dodatek podczas przedstawienia go zespół jego głośno stroił instrumenty. Ludzie byli zdziwieni, że artysta folk wychodzi na scenę z elektryczną gitarą, która uważano za coś gorszego. Dylan był lekko zaskoczony zachowaniem tłumu, był znany i popularny i przeważnie witano go bardzo entuzjastycznie. Jak nigdy wcześniej pisał i komponował przebój za przebojem, a jego pozycja umacniała się wysoko na listach rynku muzycznego w USA. Płyta *Bringing It All Back Home* sprzedawała się jak butelki wody na pustyni, po kilkanaście tysięcy egzemplarzy TYGODNIOWO, a ballada *Like A Rolling Stone* była na czele list Top 40 AM radio.

Wszystko układało się zgodnie z planem w Stanach Zjednoczonych, a przemiany, jakie na osobowość artysty miała Europa na jego światopoglądzie były gołym okiem zauważalne. Europejskie trasy koncertowe i ich wpływ na młodego twórcę miały większe znaczenie dla niego niż wiele przeczytanych książek na różne tematy w salonach i sypialniach przyjaciół, u których zatrzymywał się na noc. Dylan się zmieniał i nikt temu nie mógł zaprzeczyć. Właśnie powrócił z Londynu w czarnej skórzanej kurtce, czarnej koszuli, porządnej koszuli frakowej i szpiczastych czarnych butach z tzw. *Chelse heels*. W rękach trzymał solidną gitarę elektryczną. A scenie obok niego był zespół, co było nowością, bo przeważnie występował sam lub z panią Joan Baez. Obecność zespołu w tym przypadku jest symboliczna, oznaczająca, że dla niego folk został daleko w tyle, a narodził się rock. Miał zespół, co prawda nie jego, ale zespół o brzemieniu bluesowym, (chociaż z Chicago, ale nie był to chicagowski blues), przyspieszył jego krok w przyszłość ku nagłośnieniu i elektryczności, a przede wszystko ku gitarze elektrycznej.

Ale wracajmy do tego pamiętnego koncertu, ktoś z obsługi podłączył wzmacniacze do prądu, sprzęt elektryczny sprawił kłopot, następuje sprzężeniem zwrotne głośników i brzęczenie. Dylan był wysunięty do przodu za jego plecami stał zespół Paula Butterfielda wraz z muzykami; Al Kooper, Jerome Arnold i Sam Lay. Poeta rozpoczął głośnie i dynamicznie od piosenki *Maggie's Farm*.

Publiczność była zdumiona i oszołomiona tym, co zobaczyła i usłyszała a raczej nie usłyszała. To nie był Bob Dylan, którego znali, rozpoczynają się gwizdy buczenie, i głosy niezadowolenia, wzmacniacze razem z niezadowoloną publiczność coraz bardziej buczą, brzęczą. Nikt nie klaskał, gdy artysta rozpoczął śpiewać *Like A Rolling Stone,* tak bardzo ulubioną balladę wszystkich. Coraz bardziej dały się słyszeć głosy krzyczące „Go *back to the Sullivan show!*". Rozśmiesza i rozbawia to coraz więcej ludzi, na widowni robi się coraz to głośniej i głośniej, po chwili dociera do świadomości Dylana, że coś jest nie tak. Publiczność domaga się od niego czegoś, czego on nie rozumnie, coś od niego chce, ale on nie wie, czego od niego chcą. Na sztywnych nogach schodzi, po raz pierwszy w życiu wygwizdany, ze sceny.

I tutaj w ty momencie fakty zaczynają przegrywać z legendą, zaczynają się mnożyć setki, tysiące hipotez jak było dalej. Za kotarą ktoś zauważył łzy w oczach artysty. (W późniejszych wywiadach zaprzeczył, twierdząc, że nie płakał a jedynie był „lekko dziabnięty", że deszcz padał, itd.). Łzy pojawiły się także w oczach jego przyjaciela Pete Seegera, dla którego Dylan profanował miejsce i scenę Festiwalu Folkowego. (Sam Seeger ma kilka wersji tego, co się wydarzyło wtedy na scenie i poza nią, i dlaczego miał chwycić za siekierę, aby przeciąć przewody elektryczną prowadzącego do gitary elektrycznej Dylana, tego chyba nigdy się nie dowiemy).

Najpopularniejszą jest teoria von Schmidta zwana, *Theory of Newport*, która *goes like this*: Zespół The Butterield z Chicago, był po raz pierwszy w Newport na scenie, Dylan słyszał ich podczas warsztatów muzycznych grających bluesa, spodobali mu się, więc bez żadnego namysłu, po prostu zaprosił ich, mówiąc; *Wanna do Maggie's Farm*? *Why not* – była odpowiedzieć, zamiast prób, razem zagrali przez chwilkę i było po wszystkim. Bob w sumie planował grać tylko na gitarze akustycznej, ale sporo spotkał tak fantastyczny zespół, dlaczego by nie spróbować zagrać z nimi na gitarze elektrycznej, o której marzył od dawna, w duchu porównując się z Johnem Lennonem. Wspólnie razem trochę pojazzowali wieczorem przed koncertem. (Inne źródła podają, że wspólnie grali przez całą noc, aż do rana trzy piosenki, i tutaj coś się już nie zgadza w tej teorii). Poza Dylanem nikt z organizatorów ponoć nie wiedział, że zespół będzie grał z nim na scenie. Scena była nieprzygotowana od strony technicznej, chłopaki z zespołu po prostu weszli na nią i czekali na artystę. Tak bardzo im zależało, aby zagrać z Dylanem, że zapomnieli sprawdzić, jak działa sprzęt nagłaśniający. Mikrofony nie działały lub były wyciszone a kolumny buczały. Nikt z obsługi technicznej profesjonalnie do tego zagadnienia nie podszedł. Dylanowi nie przyszło do głowy,

aby kogoś się o to zapytać, poza tym zawsze sprawiał wrażenie, że wie, co robi, poza tym coraz bardziej stawał się niemiły dla ludzi, więc nikt się go o nic nie pytał. Był już gwiazdą i często lubił to podkreślać nie zawsze w miły i uprzejmy sposób względem ludzi, z którymi współpracował. W czasie swojego występu śpiewał sobie a muzom, a zespół grał w swoim stylu sobie. W sumie mikrofon artysty nie działał albo on śpiewał do ściszonego mikrofonu, nic o tym nie wiedząc. Perkusista Sam Lay walił w nią „ile tylko wlazło" i publiczność odniosła wrażenie, że to nie Dylan tylko jakieś *Butterfield boogie*, tym bardziej, że wyglądał tak jakby był londyńczykiem a nie chłopakiem ze Środkowego Zachody Ameryki, w starych jeansach i flanelowej koszuli, do takiego wyglądu przyzwyczaił swoich słuchaczy. Zespół go zagłuszał, więc ludzie zaczęli krzyczeć „*We can't hear Bobby*". I to jest sedno całej sprawy, ludzie nie słyszeli Dylana. Wcale nie chodziło im o to, że Dylan wystroił się jak „europejski pajac z gitarą elektryczną", ale o to, że go nie słyszeli.

Dylan wpadł w zakłopotanie, bo nie wiedział, co się dzieje, tym bardziej, że zespół grał, to, co chciał a nie jego muzykę. Ludzie z przodu krzyczeli, *nie słyszymy cię*, a tłum z tyłu myślał, że ci z przodu wyzywają Dylana, ponieważ grał na gitarze elektrycznej, która oczywiście im się nie podobała, gwizdali i buczeli, ale powodem ich nie zadowolenia nie była gitara, ale sam występ, jako taki.

Jak już zostało powiedziane, artysta zszedł ze sceny, nastała chwila konsternacji, prowadzący koncert Peter Yarrow raz jeszcze podszedł do mikrofonu, zbity z tropu, nie za bardzo wiedział co ma zrobić. Podniesionym głosem zawołał do publiczności „*Want to hear more?*" dodając: "*Bob's gone to get his acoustic guitar if you want to hear him more*". Ktoś z publiczności odkrzyknął: „*Get his folk gitar!*". Konferansjer sugerował, że właściwie nic się nie stało i Dylan może wrócić na scenę, jeśli chcą, i nawet może już zagrać na akustycznej gitarze. Po chwili artysta był już na scenie i raz jeszcze rozpoczął swój występ tym razem piosenką z drugiej strony płyty, tej nie rockowe, *It's All Over Now, Baby Blue*".

Czarny chmury rozstały się „przegonione" publiczność się rozchmurzyła, biła mu brawa na stojąco krzycząc „More". Ktoś krzyknął zaśpiewaj *Mr. Tambourine Man*. Poprawił się mu nastrój i publiczności, ucieszony powiedział; *„All right, people. I'll sing that for ya"*. I zaśpiewał i publiczność razem z nim śpiewała, napięcie rozeszło się po kościach. To, dlaczego Dylan zszedł ze sceny dzisiaj stało się przyczyną do setki przenajróżniejszych spekulacji. Aby je wszystkie zebrać lub podać zabrakłoby nie tylko cierpliwości, ale i stron na opisanie tego wszystkiego. Powstał mętlik w głowie artysty, który po raz pierwszy pogubił się w tym wszystkim, nie wiedział, „co jest grane", w sumie koncert zakończył się po jego myśli, a gitara elektryczna odniosła połowiczny sukces.

Do Newport powrócił koncertować po 37 latach, a gitarę (dokładnie nie wiadomo, czy to była ta sama) kupioną za kilkanaście setek, na której rozpoczął swój pierwszy „elektryczny koncert" sprzedał na aukcji za milion, no prawie, bo za 965 tysięcy dolarów. To się nazywa mieć łeb do interesów.

CDN

40 lecie twórczości poetyckiej Adama Lizakowskiego

W niedzielę 18 października w Pieszycach odbyła się uroczysta Msza święta dziękczynna za szczęśliwy powrót do ojczyzny ze Stanów Zjednoczonych, a także za otrzymane łaski z okazji 40 lecia pracy twórczej oraz odsłonięcie tablicy pamiątkowej emigracyjnego poety, tłumacza, prozaika, syna ziemi sowiogórskiej - Adama Lizakowskiego. Poeta Jubilat połączył swoje czterdziestolecie pracy twórczej z pierwszą rocznicą ślubu, która przypadła 28 września tego roku, a którego udzielił mu ks. Prałat Edward Dzik, akurat w tym dniu nieobecny w Pieszycach.

Mszę świętą odprawił ks. Rafał Szuba, na którą stawiło się spore grono mieszkańców, była także transmitowana online, i oglądana przez bardzo liczne grono mieszkańców Gminy Pieszyce. Ks. Rafał rozpoczął krótkim pytaniem (*Piętnastym listem poetyckim z Chicago do Pieszyc*); *Czy wierzysz w Boga?*

Adam Lizakowski | Zdjęcia: DOBA.PL / DZIERŻONIÓW

Po odprawieniu nabożeństwa ks. Rafał poprosił do mikrofonu pana Wojciecha Lefeka, II-go asystenta Wojewody Dolnośląskiego, który przeczytał list gratulacyjny posła do Parlamentu Europejskiego, Pani Beaty Kempy. Następnie poproszono poetę o zabranie głosu. Adam Lizakowski rozpoczął swoją prezentację od wiersza pt. „Psalm złodziei czereśni", który pochodzi z tomu wydanego w Stanach Zjednoczonych 1990 roku pt. „Złodzieje czereśni".

Psalm złodziei czereśni

W naszym miasteczku
w kościele św. Antoniego
jest Twój portret Panie
twarz masz umęczoną
krople krwi na skroniach
oczy zaczerwienione i załzawione
usta z trudem wciągają powietrze.

Noc nadchodzi. Gdzie jesteś Panie
łóżko dla ciebie posłane
woda w misce czeka
przyjdź do nas
bandażujemy Twą głowę
uczeszemy włosy
umyjemy umęczone nogi
wyczyścimy buty
a na kolację zjesz chleb z masłem
i dżem czereśniowy

Panie jesteś zmęczony
przyjdź do nas teraz
nie czekaj na Sąd Ostateczny
na którym nasze własne ciało
będzie świadczyć przeciwko nam
głowa powie „knułam intrygi"
oko powie „widziałem krew"
język powie „raniłem słowami"
ręka powie „kradłam"
noga powie „prowadziłam do złego"

Panie nawet jeśli zjemy
wszystkie czereśnie całego świata
i poznamy tajemnice
sadów czereśniowych
bez Twojej ilości jesteśmy niczym
bez ciebie słodycz czereśni
nie jest słodyczą
jedynie mokrym drewnem
rzuconym w ognisko
które nie zapłonie płomieniem

a jedynie dym się uniesie
szczypiąc w oczy

Panie miłość Twoja –
wiecznie kwitnące sady czereśniowe
panna młoda w sukni płatków
czekająca na zaślubiny z armią pszczół.

Warto też zaznaczyć, że bohater tego spotkania nie jedynie mówił o sobie i swojej twórczości, ale także o ludziach, którzy mu przez cztery dekady wspierali. Wymielił dyrektorów bibliotek i domów kultury z całego powiatu dzierżoniowskiego, a także wspomniał o byłym burmistrzu Pieszyc Mirosławie Obalu a także o byłym burmistrzu Dzierżoniowa Marku Pierunie.

Poeta bardzo ciekawie mówił o Ameryce i Pieszycach, San Francisco i Górach Sowich, przytaczał fragmenty wierszy, które powstały w Ameryce. Po swojej prezentacji Adam Lizakowski poprosił księdza Rafała, aby razem symbolicznie odsłonili tablicę pamiątkową z tej okazji wmurowaną w sieni kościoła.

Licznie zebrani goście gratulowali poecie tak pięknego jubileuszu pracy twórczej. Otrzymał on sporo prezentów od różnych miejscowych instytucji kulturalnych i rządowych, jako dowód dużego uznania za twórczość i co miejmy nadzieję będzie kontynuował przez wiele lat.

***

Adam Lizakowski – Debiutował w czerwcu 1980 roku kilkoma wierszami na łamach warszawskiego „Tygodnika Kulturalnego". Wyjechał z Polski w 1981 roku. Przez 35 lat przebywał w USA, przez pierwsze 10 lat w San Francisco, następnie przez 25 lat w Chicago. Studiował na Columbia College i Northwestern University. Na stałe powrócił do ojczyzny w 2016 roku.

Na emigracji publikował swoją twórczość m.in. w paryskiej „Kulturze", w nowojorskim „Nowym Dzienniku", w chicagowskim „Dzienniku Związkowym". Autor ponad tuzina książek. W 2017 wydał w poznańskim wydawnictwie WBP i CAK tom zatytułowany Jak zdobyto Dziki Zachód - wiersze i poematy zawierający utwory o Dolnym Śląsku i o Zachodnim Wybrzeżu USA (Poetycka historia Kalifornii od XVI – XXI w). Z okazji 40-lecia pracy twórczej, która przypada w 2020 r., planuje wydać książkę na którą będą się składały przekłady i interpretacje oraz analizy dwudziestu ballad barda Ameryki, Boba Dylana.

Za swoją działalność na polu promocji polskiej kultury za granicą otrzymał m.in.;

- **Medal Stulecia Odzyskanej Niepodległości, przyznany 30 stycznia 2020, a wręczony przez Wojewodę Dolnośląskiego we Urząd Wojewódzki we Wrocławiu. 8 czerwca, 2020.**

- **Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w popularyzowanie polskiej kultury i literatury, oraz za osiągnięcia w pracy twórczej, przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. (Warszawa 17 marca, 2020).**

Polskie sylwetki w Kolorado

Master in Piano Performance

HALINA DĄBROWSKA

W 1967 roku na wydziale edukacji muzycznej Indiana University Bloomington pojawiła się młodziutka studentka Elizabeth Zabłocki. Przyjechała z Milwaukee, dokąd wojenne losy doprowadziły jej rodziców i siostrę.

Ojciec ukończył zaledwie trzy klasy szkoły podstawowej w podwarszawskiej wsi. Trzynastoletni pastuszek poszedł do miasta. Chwytał się różnych zajęć. Najdłużej pracował w zakładzie mięsnym i doskonale opanował sztukę wyrobu kiełbas.

Marysia Zabłocka, nazywana także Jadzią, miała zaledwie dziesięć lat, kiedy ciotka zabrała ją ze wsi do Warszawy i zatrudniła w swoim maglu. Jeszcze dziecko, a już musiała ciężko pracować. Była prasowaczką po czterech klasach szkoły podstawowej. Uczyła się szybko, miała doskonałą pamięć. Później, w Ameryce deklamowała swoim dzieciom długie fragmenty „Pana Tadeusza".

Lekcja gry na fortepianie Milwaukee 1956 rok

Father Daughter Dance - Ela z tatą Henrykiem Zabłockim

Z wielu adoratorów wybrała Henia Zabłockiego. Jego ojciec był bardzo przeciwny temu małżeństwu. W końcu swoją opinię skwitował znanym powiedzeniem: *Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz*. Młodzi pobrali się w kwietniu 1938 roku, organizując skromną uroczystość. Był to związek silnych osobowości: ojciec dobrego serca, ale bardzo porywczy, matka uparta i apodyktyczna. Czasami dyskusje były zbyt głośne, ale w sprawach ważnych zawsze zgodne podejmowali wspólną decyzją.

W marcu następnego roku urodziła się córeczka Jadwiga Henryka. Chmury wojny zaczęły kłębić się nad Polską. Ojciec otrzymał powołanie do wojska. Był jednym z tych żołnierzy, którzy po wrześniowej klęsce przedostali się przez Węgry i Rumunię na zachód. Zdążył po kryjomu pożegnać się z rodziną, włożyć na palec kilkumiesięcznej córki swoją obrączkę, schować zdjęcia do portfela. Miał tylko dwadzieścia pięć lat. Pobyt w obozach dla internowanych, w szpitalu, skąd uciekł chory na malarię, doprowadziły go do Anglii.

Dołączył do znanego polskiego dywizjonu lotniczego 303. Został wcielony do naziemnej obsługi sił powietrznych. Brał udział w wielu akcjach na froncie zachodnim, w walkach o Normandię, w bitwie o Ardeny.

Przeżył niespodziewany atak niemieckich myśliwców na jedno z lotniskach w Belgii, podczas którego zginęło 12 polskich i 43 kanadyjskich pilotów. Wydobył rannego polskiego lotnika z kabiny samolotu, którym się opiekował, a w dwie minuty po tym maszyna już płonęła. Był odznaczony wieloma medalami, ale najbardziej cenił sobie Virtuti Militari.

Koniec wojny zastał go na terenie Niemiec w miejscowości Ahlhorn. Zdemobilizowany zaczął pracować w gospodarstwie bauera. W grudniu 1945 roku wysłał do

Ślub Elżbiety i Rafała, 1971 rok

Polski przyjaciela znającego biegle język niemiecki z poleceniem odnalezienia żony i córki i przyprowadzenia ich do Niemiec. I to był pierwszy kontakt z rodziną od sierpnia 1939 roku. Jak straszny jest czas wojennych rozstań! Znajomy znalazł kobiety, uwiarygodnił siebie i prośbę Henryka. W ciągu trzech godzin spakowane wyruszyły na spotkanie z przeznaczeniem. Podróż obfitowała w różne przygody. Jechały pociągiem bydlęcym, przebrnęły przez różne kontrole i szczęśliwie dojechały do celu. Około 1947 roku większość polskich żołnierzy wyjechała z Niemiec. Wielu z nich przeniosło się do bazy Cornwall, skąd zaczęli rozjeżdżać się po świecie.

Zabłoccy uparcie czekali na możliwość wyjazdu do USA. W tym oczekiwaniu powitali córeczkę, która urodziła się w 1949 roku. Przygotowani byli do wyjazdu do Buffalo, ale zmiana decyzji sponsora zaprowadziła ich do Milwaukee w Wisconsin. Pan Pankiewicz patronował przyjazdowi rodziny do tego stanu. W marcu 1952 roku rodzina greckim statkiem Neptunia popłynęła do Ameryki.

Ojciec zaczął pracować najpierw w masarni, kolejno u kilku kontraktorów, aż w końcu w jednym z oddziałów General Motors, gdzie produkowano elementy dla realizacji programu Apollo. Lubił ten zakład i jego też tam cenili. Szybko awansował. Po latach ciężkiej pracy czuł się omal jak *white collar person*.

Zabłoccy wystąpili o przyznanie obywatelstwa. Ambitnie zdali egzamin i wrastali w amerykańską rzeczywistość. Kupili dom. Dziewczynki chodziły do szkół, Ela także do polskiej szkółki. Obydwoje rodzice byli bardzo religijni. Czynnie uczestniczyli w życiu parafii, zwłaszcza mama. Uczyła też młodszą córkę polskiego pisanymi przez siebie rymowankami jak ta:

Szła Helenka z fabryki
Z Mikołajem pod rękę,
Miała złote buciki
I czerwoną sukienkę.
A Mikołaj wielki pan
Kupił sobie fortepian,
A nie umiał na nim grać,
Zjadł kolację, poszedł spać

Mama zwracała uwagę na piękne deklamowanie wierszyków, z uczuciem, z rytmem. We wspomnieniach Eli to ona stała się jej pierwszą nauczycielką muzyki, sztuki wyrażania piękna. Ojciec był wielkim entuzjastą sportu. Wspierał lokalny Polonia Sport Club, czynnie uczestnicząc we wszystkich pracach i klubowych imprezach. Cała rodzina żyła sportem. Zięć Mietek Rabiega był dobrym piłkarzem, a jego syn Ryszard wieloletnim prezesem Klubu. Tata był w szpitalu, kiedy miał się odbyć mecz Polska-Niemcy rozgrywany w ramach World Cup w 1978 roku. Wnuk Ryszard z innymi obmyślili, że wykradną chorego z pokoju i przewiozą do *downtown*, żeby na wielkim telebimie dziadek obejrzał mecz. Nie było to zbyt szczęśliwe dla chorego, tym bardziej, że zauważono jego zniknięcie i wszczęto poszukiwania.

Jadzia uczyła się gry na akordeonie. Dla małej Elżbietki instrument ten okazał się za ciężki. Uradzono, że będzie grała na pianinie. Pan Kleczkowski był nie tylko dobrym pedagogiem, ale stał się przyjacielem domu. Krucha, delikatna i bardzo wrażliwa dziewczynka polubiła lekcje muzyki, chodziła na balet, tańczyła w zespole ludowym, należała do harcerstwa. Zajęć miała dużo. Dzielnie sobie radziła, ale nie wszystko mogła zrozumieć.

Jeździła na letnie obozy. Na jednym z nich poznała harcerkę z Chicago. Zaprzyjaźniły się i utrzymywały kontakt. Na kolejnym obozie chętnie ze sobą przebywały, na co koleżanki z drużyny zareagowały milczeniem. Przestały z nią rozmawiać przez całe dwa tygodnie. Do dziś Elżbieta nie znajduje sensownego wytłumaczenia tego postępku. A kiedy po latach zapytała jedną z nich o powód milczenia, otrzymała odpowiedź: „Byłyśmy wtedy niedojrzałe".

Elżbieta dużo grała, występowała publicznie. Uroczystości polonijne nie mogły się odbyć bez jej udziału. Wniosła wiele pomysłów do organizacji uroczystości milenijnych w Milwaukee. Albumy i *scrapbooks* pełne są zdjęć i notatek prasowych ilustrujących jej osiągnięcia. Rozpoczęcie studiów muzycznych na uniwersytecie było kolejnym etapem prowadzącym do realizacji marzeń - zrobienia doktoratu z pedagogiki fortepianu.

Polskie sylwetki w Kolorado

Koncert w Colorado Springs w 2015 roku

Na Uniwersytecie Indiana zaczął pracować prof. Leon Zawadowski - światowej sławy językoznawca. Urodzony w Petersburgu, studiował w Warszawie, po wojnie pracował we Wrocławiu. W 1969 wyjechał na półroczne stypendium do Francji. Wykładał na Sorbonie. Władał dwudziestoma sześcioma językami, w tym trzynastoma biegle. Małżonka profesora, Iwona, umiała pięknie szyć i tym wspierała budżet rodziny, a po przeprowadzce do Kanady otworzyła butik. Była prezesem kanadyjskiego oddziału Radia Maryja. Zawadowscy mieli trzech synów: dwaj przyjechali z nimi, trzeci studiował medycynę w Polsce. Ela poznała tę rodzinę i pomagała w organizacji życia codziennego na Zachodzie. Ela i student Rafał zaczęli ze sobą korespondować.

W czerwcu 1971 roku pojechała do Polski. Młody, przystojny student spełniał oczekiwania Eli. Zawsze marzyła o poznaniu kogoś z polską duszą. Zaręczyli się. We wrześniu wzięli ślub cywilny, a w grudniu kościelny.

Młoda małżonka wróciła na uczelnię. Ukończyła studia z tytułem Master in Piano Performance i otworzyła przewód doktorski. W 1972 roku Rafał przyjechał do Stanów. Podjął intensywną naukę angielskiego. Pierwszym i najważniejszym krokiem rozpoczęcia pracy zawodowej było nostryfikowanie dyplomu – zdanie egzaminu medycznego dla cudzoziemców (*ECFMG Exam*).

Na świat przyszło pierwsze dziecko - Jane urodziła się w maju 1973 roku. Elżbieta przerwała studia doktoranckie. Rafał zaczął staż w Youngstown w Ohio. Rodzina powiększyła się o syna. Ela, matka dwojga maleństw, zajęta prowadzeniem domu, uczyła gry na pianinie, koncertowała. Zdobyła dużą popularność w lokalnym środowisku.

W 1977 roku przenieśli się do Pueblo w Kolorado, przede wszystkim ze względu na stan zdrowia Rafała. Czuł się lepiej w okolicach dużego nasłonecznienia, wyższych temperatur i małej wilgotności powietrza. Otworzył gabinet lekarski, w którym Ela pracowała w pełnym wymiarze godzin, prowadząc wszystkie sprawy biurowe. W kupionym domu od 1978 roku baraszkowała już trójka dzieci. Wielką pomocą w tym czasie była matka Elżbiety. Już emerytka przyjechała tylko na trzy tygodnie, a została na trzy i pół roku. Z oddaniem i babciną miłością zajmowała się wnukami. Ojciec przyjeżdżał z krótkimi wizytami ucieszyć się widokiem rosnących pociech, pobyć blisko swojej Eli, przypomnieć sobie, jak uczył ją tańczyć, jak podejmował różne prace, żeby kupić dla niej lepszy fortepian. Miał duże problemy ze zdrowiem. Chory na serce, często przebywał w szpitalu. Zmarł w 1981 roku w wieku 67 lat. A jeszcze przed kilkoma miesiącami w urodzinowym liście pisał, jak bardzo cieszy się każdym dniem bycia jej ojcem i prosił: *Kochaj swoją matkę, która dała mi Ciebie*.

Elżbieta zajęta pracą domową, małymi dziećmi, lekcjami muzyki z pewnością ostatnia dowiedziała się o urozmaiconym życiu towarzyskim swojego małżonka. Wiara w partnera, przeszłość budowana żarem młodych serc rozpadła się, spopielała. Dla ambitnej Eli rzetelnie traktującej prawa i obowiązki ustanowione sakramentem małżeństwa ta sytuacja była nie do zaakceptowania. Tego związku nie dało się uratować w kryzysie. Rozstanie stało się koniecznością.

Z bólem, ale ze spokojem oddalali się od siebie. Elżbieta pracowała w gabinecie doktora nawet po rozwodzie. Rafał przeniósł się do swojego domu.

Życie biegło swoimi dróżkami. Do naprawienia blendera i mikrofalówki ktoś polecił zakład Terriego McCann'a. Na proszonym obiedzie Ela wyraziła chęć poznania okolicznych gór. Zapisała się do Mountain Club, którego prezesem był Terry. Zainteresowała się inwestycjami w akcje i zdała egzamin *Series 7*. W zebraniach grupy uczestniczył także Terry. Tych spotkań było coraz więcej, a rozmowy coraz dłuższe. Dojrzała relacja budowana bez emocjonalnego chaosu w naturalny sposób doprowadziła obojga do decyzji bycia razem. W trzy tygodnie po sfinalizowaniu rozwodu z Rafałem, w lutym 1987 roku zawarli związek małżeński.

Opiekuńczy Terry, dobry dla dzieci, nauczyciel młodszych grup wiekowych, wniósł do domu serdeczną stabilność. Ustalony porządek życia domowników zaburzyła w 2014 roku diagnoza choroby Elżbiety. Podczas rutynowego badania Ela zwróciła uwagę lekarza na plamkę na piersi. Negatywny wynik mammografii nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Przy kolejnym badaniu lekarz zalecił wykonanie biopsji. Okazało się, że przebarwienie jest siedliskiem rakotwórczych komórek. Rezultat szczegółowych badań wykazał poważnie zaatakowane węzły chłonne. Leczenie z zastosowaniem najnowszych środków i metod przy dzielnej postawie chorej i życzliwości otoczenia oddaliły widmo skutków groźnej choroby. Ela monitorowała jej przebieg pisaniem spostrzeżeń. Umieszczała je w internecie z przekazem i ostrzeżeniem, że na wynikach mammogramu nie zawsze można polegać. Dziś to już tylko wspomnienia i skoroszyt zapisanych stron.

Elizabeth Zawadowski McCanne jest wspaniałą archiwistką. Wszystko opisane, posegregowane, umieszczone w miejscach tylko jej znanych, oczywiście i w komputerze, którym posługuje się znakomicie. A jest o czym mówić i co prezentować. To rodziny szeroko rozgałęzione, czasy edukacji muzycznej. Przez sześć lat była uczennicą znakomitego, światowej sławy pianisty węgierskiego György Seboka. To lata pracy nauczania gry na fortepianie od maluchów do wieku podeszłego. Gromada nauczanych od 1968 roku jest trudna do ogarnięcia, a żadnej statystyki nauczycielka nie prowadziła.

Muzyka jest jej istnieniem. Od dziecka grała na polskich imprezach polki, walczyki, oberki. Gra muzykę klasyczną. Koncertowała. Organizowała koncerty swoich podopiecznych. Prezesowała *Music Teachers Association* w Pueblo, *Colorado Mountain Club*. Przez 17 lat prowadziła biuro gabinetu medycznego doktora Rafała Zawadowskiego. Jest matką trojga dzieci i babcią dziewięciorga wnucząt.

Interesuje się wszystkim, co polskie. Dla poznania rodziny i kraju ojców odbyła dziewięć wycieczek z Terrym, dziećmi, wnukami. Jedna z nich była szczególna. Dołączyła do grupy melomanek z Kantonu, razem z nimi zwiedziła miejsca związane w Chopinem i słuchała gry uczestników Konkursu Chopinowskiego. Chodzi na wycieczki, na tańce do Polka Club. Aż trudno uwierzyć, ile zbiega się w jednej kruchej osobie. A teraz, kiedy życie zaczęło płynąć w tempie andante czy adagio, musi zwracać większą uwagę na swoje zdrowie i najbliższych. A marzenia? Podróżować, co oboje bardzo lubią, cieszyć się z osiągnięć dzieci i wnuków, doprowadzić do zorganizowania miejsca gromadzącego materiały do nauczania i uczenia się muzyki - duszy wszechświata, skrzydeł umysłu i lotu wyobraźni.

Elżbieta i Terry McCann

Wszystkich dziewięciorga wnuków nigdy nie można zebrać do wspólnego zdjęcia - brakuje Zosi

Niektórzy lubią się zastanawiać...

Dokończenie ze >> str. 1

Światem zaczęła rządzić jesień...

HANNA CZERNIK

Jak pisała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska:

Brzozy są jak złote wodotryski.
Zimno jest jak w ostatnim liście.
A słońce jest jak ktoś bliski,
który ziębnie i odchodzi. Lecą liście…
(Październik)

***

Jesień to także brzemienna dziewczyna, pełna kłosów i jabłek, "co ma w sadzie strój bogaty, malowany w różne światy", bawiąca się nitkami babiego lata w słońcu coraz bledszym, coraz łagodniejszym, ale właśnie dlatego tak cennym. Nie przypadkiem do 16 wieku w Anglii nazwa tej pory roku była tożsama ze zbiorami - *harvest*. Do dziś utrzymuje się ona w kilku germańskich językach: w holenderskim *herfst*, niemieckim *Herbst* i szkockim *hairst*.

Jesienne liście - J. E. Millais'a - brytyjskiego symbolisty

Polska jesień też w swojej prasłowiańskiej formie znaczyła żniwa, a więc obfitość, dostatek. Nie przypadkiem święta dziękczynienia za udane zbiory obchodzone są pod różnymi nazwami w wielu krajach dookoła globu. W Anglii znane są *harvest festivals*, w Polsce dożynki, tradycyjne święto słowiańskie obchodzone dawniej w końcu września w dniach zrównania dnia z nocą.

Północnoamerykańskie *Thanksgiving* też przypada w jesieni, w październiku w Kanadzie, w listopadzie w Stanach. Nie ma zgodności wśród historyków, kiedy i gdzie obchodzono je po raz pierwszy. Wirginia zgłasza się po palmę pierwszeństwa, gdyż tam w 1619 roku po przybyciu nowych osadników odbyły się dobrze udokumentowane obchody zgodnie z przykazaniem macierzystej kompanii londyńskiej: *That day in the land of Virginia shall be yearly and perpetually kept holy as a day of thanksgiving to Almighty God*. Jednak w masowej wyobraźni najsilniej utrwaliło się wydarzenie w kolonii Plymouth, w obecnym Massachusetts, w październiku 1621 roku, związane z przybyciem pielgrzymów na statku Mayflower rok wcześniej, choć dokumentacja na ten temat jest skąpa.

Jednak fakt, że w tych uroczystościach wzięli pospołu udział przybysze z Anglii i miejscowi Indianie z plemienia Wampanoagów, którzy pomogli osadnikom przetrwać najcięższy rok, trafiała do wyobraźni potomnych. Zarówno tych, którzy chcieli podtrzymać legendę o pokojowym zasiedleniu Ameryki, jak i idealistów marzących o przyjaźni między ludźmi o różnych kolorach skóry i wywodzących się z różnych kultur.

Faktem jest, że bez pomocy Indian losy kolonii Plymouth mogły potoczyć się jeszcze tragiczniej. Dwumiesięczna podróż przez Atlantyk, przybycie w końcu listopada (zdecydowanie brakowało tam rozsądnego planowania) tuż przed ostrą zimą spowodowały śmierć 46 osób spośród 102 zaokrętowanych na Mayflower. Indianie dostarczali przybyszom jedzenie, pokazali jak łowić miejscowe ryby, uczyli sadzenia kukurydzy, o której uprawie nowo przybyli nie mieli pojęcia i tak dalej i tym podobnie... Menu na tym pierwszym wspólnym stole czy stołach różniło się od obecnie przygotowywanego, które pochodzi z czasów oficjalnego wprowadzenia święta do kalendarza amerykańskiego za rządów Abrahama Lincolna. Indyki, dynie i żurawiny, kukurydza i ziemniaki - róg obfitości - to wszystko są atrybuty dostatniej jesieni.

Na obrazie Giuseppe Arcimboldo (str. 1 tego wydania - przypomnienie redakcji) alegoria tej pory roku to profil ludzkiej twarzy skomponowany z owoców właśnie jakby wysypanych z rogu obfitości. Gruszki, jabłka, dynie, tykwy, winogrona, grzyby, orzechy. Twarz wychyla się z kaftana- beczki, której deszczułki związane są wiciami wierzby. Portret nieodparcie nasuwa skojarzenia z rzymskim Bachusem, greckim Dionizosem, bogiem płodności i wina symbolizującym jego upajający i dobroczynny wpływ. Dionizosem, z misteriów na cześć którego wyrósł wielki grecki teatr.

Jesień bywa złota i ciepła - babie lato w Polsce i Indian Summer w Ameryce Północnej - (https://www.youtube.com/watch?v=qqYQxGWbCxE). "Jesienne róże cicho szepcą o rozstaniu", ale chryzantemy i wrzosy kwitną, drzewa pokrywają się złotymi i czerwonymi liśćmi. Ich szelest pod stopami przywodzi na myśl dzieciństwo i młodość.

Mimozami jesień się zaczyna,
Złotawa, krucha i miła.
To ty, to ty jesteś ta dziewczyna,
Która do mnie na ulicę wychodziła.

Od twoich listów pachniało w sieni,
Gdym wracał zdyszany ze szkoły,
A po ulicach w lekkiej jesieni
Fruwały za mną jasne anioły.

Babie lato - obraz Józefa Chełmońskiego, 1875 rok. Muzeum Narodowe w Warszawie

wspominał Julian Tuwim w, nomen omen, Wspomnieniu, pięknie śpiewanym przez Czesława Niemena (https://www.youtube.com/watch?v=gYJix_D1qjM).

Jesień, która "rdzawą nitką przeplata zmęczone myśli na kanwie pamięci", a więc nierzadko też nostalgiczna i smutna, jakby bezpowrotna... Melancholijna:

Drzewa jesienne wypiękniały,
Obeschły ścieżki leśne.
Październikowe niebo syci wodę
Pogodnym zmierzchem;
Na wodzie, gładkiej aż do skał krawędzi —
Pięćdziesiąt dziewięć łabędzi /.../
Widzę je znów, olśniewające,
I skurcz mi serce dławi.

Wszystko jest inne niż w dzień,
gdym raz pierwszy
Na brzegu tym się zjawił.
(William Butler Yeats, *Dzikie łabędzie*)

Bywa deszczowa i szara: "O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny / I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny", pisał Leopold Staff w najbardziej chyba znanym jego wierszu. A Stanisław Grochowiak:

Drzewo morwowe jesienią - Vincent van Gogh

Tęsknię za tobą jesiennie -
Za tobą odległą
O zimne deszcze -
Szukam cię w nocy
Ciemnej,
W taki mrok,
W taki chłód

Jesień, w umiarkowanym klimacie jedna z czterech pór roku, jak tytuł kompozycji Antonio Vivaldiego, Le quattro stagioni,

C.d.

Antonio Vivaldiego, Le quattro stagioni, L'Autunno, z 1720 roku, którą zachwyceni krytycy nazywali dźwiękowym malarstwem. Jak cykl obrazów wspomnianego wyżej prekursora surrealizmu, Giuseppe Arcimboldo.

***

Żydówka z pomarańczami - Aleksander Gierymski, 1880-1881, w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie

Od najdawniejszych czasów, zanim jeszcze ludzie wiedzieli coś o układzie słonecznym i rządzących nim prawach, próbowano wyjaśnić, skąd przyroda wydawszy plony nagle zamiera i zasypia. Jak zawsze z pomocą pospieszyły tworzone mity.

Demeter, rzymska Ceres, pradawna bogini przyrody czczona u różnych ludów basenu Morza Śródziemnego, rozsławiona przez Greków, którzy włączyli ją do swego panteonu bóstw olimpijskich, symbolizowała płodność, plony, urodzaj. Przedstawiano ją zazwyczaj z wieńcem kłosów na głowie, trzymającą w rękach żniwny sierp i kosz owoców. Demeter miała ukochaną córkę, Korę, której ojcem był Zeus i obie boginie otaczano w Grecji szczególnym kultem. Ale pewnego dnia, gdy Kora na polecenie matki malowała obrazy kwiatów na łące i skuszona urodą jednego z nich zerwała kwitnący narcyz, ziemia rozstąpiła się, na złotym rydwanie pojawił się bóg świata zmarłych, Hades, i porwał dziewczynę do swego królestwa. Zrozpaczona Demeter zabrała ziemi płodność, aż przerażony losem głodujących ludzi Hades zgodził się zwrócić córkę matce. Po interwencji Zeusa ustalono, że odtąd przez pół roku Kora będzie przebywała z Demeter, a na następne miesiące wracała do małżonka do świata podziemnego jako Persefona. Kiedy Kora pojawia się u matki, ta rozradowana i szczęśliwa pokrywa ziemię zielonością, kwiatami, zbożami. Nastaje wiosna i lato. Ziemia wydaje plony. Ale kiedy Persefona wraca do Hadesu, krainy utożsamianej z imieniem rządzącego nią boga, Demeter pogrąża się w smutku i łzach i z nią razem płacze deszczem, zamiera w tęsknocie cała przyroda.

Jak ważny był dla ludzi ten mit pokazuje trwałość misteriów eleuzyjskich (od Eleusis, miasta w pobliżu Aten, ośrodka kultu) poświęconych obu boginiom. Odprawiane były one nieprzerwanie przez dwa tysiące lat, od piętnastego wieku przed naszą erą do roku 391 n.e., kiedy zostały zakazane przez Teodozjusza, ostatniego cesarza obu części rzymskiego imperium; później jeszcze kontynuowane potajemnie. O ich uniwersalności świadczy też fakt, że w obrzędach mogli uczestniczyć mówiący po grecku wierni ze wszystkich sfer społecznych, ludzie wolni i niewolnicy, pod warunkiem czystości serca. Oczywiście, jak we wszystkich misteriach, rytuałach sakralnych, obowiązywał proces oczyszczenia, inicjacji, wtajemniczenia.

Jedyną osobą spoza tego ezoterycznego kręgu uprawnioną do uczestnictwa był Marek Aureliusz, jeden z pięciu tzw. dobrych cesarzy rzymskich, pisarz i filozof - stoik. Po spustoszeniu świątyni Demeter w Eleusis przez Sarmatów w 170 roku po Chrystusie, bowiem, zlecił jej odbudowę i przywrócenie świetności. Nie jest pewne, czy i w jakiej mierze z tego przywileju skorzystał, choć jak wielu z rzymskiej elity mówił i pisał świetnie po grecku.

Mit Kory-Persefony i Demeter, ilustrowany literacko, malarsko, muzycznie przetrwał długo po upadku starożytnego świata. Jeszcze w dwudziestym wieku Karol Szymanowski skomponował kantatę *Demeter Op 37 bis* na solo, chór i orkiestrę, a i w dwudziestym pierwszym, zaledwie pięć lat temu premierę w Madrycie miał poemat symfoniczny Octavia Vazqueza zatytułowany *Eleusis*.

Jesień to także metafora schyłku. *Jesień Średniowiecza* - tak zatytułował swoją głośną w XX wieku monografię holenderski historyk kultury i językoznawca, Johan Huizinga. Tytuł nie jest przypadkowy. Podobnie jak precyzyjny podtytuł: *Studium form życia, myśli i sztuki we Francji i Holandii 14 i 15 wieku*. Bo Huizinga na przykładzie dworu Księstwa Burgundii - jednego z najdłużej istniejących i najzamożniejszych księstw Europy, które przez sto lat władało także Holandią, pokazuje tę epokę jako proces coraz większego kostnienia form życia dworskiego z jednej strony, a brutalizacji życia mas z drugiej. Pod jego piórem w portrecie tych czasów dominuje pesymizm, wypalenie się kulturowe, nostalgia. I choć wielu historyków wskazywało na ograniczenie spojrzenia Huizingi, spojrzenia zawężonego do sfery burgundzkich wpływów, książka była wielokrotnie wznawiana i w tym roku, 2020, ukazało się jej nowe wydanie w nowym znakomitym angielskim tłumaczeniu. Ta edycja zawiera także 300 wspaniałych ilustracji wszystkich dzieł sztuki, które omawia w swoim tekście autor.

Jesień epoki, jesień życia. Jak często używane jest to pojęcie jako eufemizm starości. Pokrewieństwo widoczne jest nawet wówczas, gdy tylko jedno z nich bywa wymieniane: ***Starość to czas dawania. Jesteś jak jabłonka obwieszona jabłkami, które już tobie są niepotrzebne. Nieważne jest już rozmnażanie się, tylko żeby obdzielić innych tym, co masz. I historiami, i wspomnieniami, i myślami*** - powiedziała w jednym z wywiadów Olga Tokarczuk. A Marcus Tullius Cicero: *Starość zbiera żniwo dobra wcześniej zasianego*. Na starość można przecież patrzeć tak samo rozmaicie jak na jesień. Można zobaczyć w niej przemijanie, utratę życiodajnych sił i barw:

Leszczyna się stroi w fioletową morę,
a lipa w atłas zielony najgładszy…
Ja się już nie przebiorę,
na mnie nikt nie popatrzy.
(Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Starość*)

Można, przeciwnie, dostrzec bogactwo doświadczenia, przeżyć, przemyśleń. Bogactwo wyrazu nieobecne w gładkich twarzach młodości. Szorstkość twarzy i dłoni, jak szorstkość spadających liści. Subtelność i ciepło barw. Jak na portretach starych ludzi malowanych przez Rembrandta, jak w *Pomarańczarce* Aleksandra Gierymskiego, jak w *Stworzeniu Adama* Michała Anioła, fresku na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej z 1511 roku. Oto młody piękny mężczyzna, który za chwilę otrzyma życie od Boga przedstawionego w postaci potężnego starca. Alabastrowe ciało młodzieńca jeszcze bez tchnienia, jeszcze bez osobowości. One bowiem znajdują się wciąż poza nim, wypełniają postać sędziwego Stwórcy obdarzającego życiem.

Starość może być bezradna, jak smagana wiatrem bezlistna już osika. Może być smutna jak listopadowa szaruga. Ale może też być spokojna mądrością przeżytych doznań, wypełniona miłością do ludzi, którym tyle z siebie dała. Może być w niebanalny, niemedialny sposób piękna. Jak jesienna dziewczyna dlatego najpiękniejsza, że ostatnia i niezamienna już na nic.

Z tej drogi, którą przeszło
Za wiosną swoją lato -
Już nie patrz na swą przeszłość,
Na przyszłość spojrzyj za to.
Ze wzrokiem na zakręcie,
Za którym jest już jesień,

Dziewczynka z chryzantemam - Olga Boznańska 1895 rok, w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie

Wciąż czekaj nieugięcie,
Aż ona ci przyniesie...
Jesienną Dziewczynę,
Odmienną niż inne -
Dziewczynę z chryzantemami,
Z chryzantemami.
Dziewczynę Jesienną -
Dziewczynę bezcenną
I nie zamienną już na nic,
Już na nic...

(Jeremi Przybora, *Jesienna dziewczyna*)

Profesjonalne porady

Ekonomiczne

fakty, statystyki i ciekawostki

WALDEK TADLA

Rynek nieruchomości, listopad 2020

Bez względu na ogólnie panujące nastroje społeczne oraz finał prezydenckiej kampanii wyborczej temat kondycji rynku nieruchomości jest zawsze aktualny. Niewątpliwie wynika to z jego uniwersalności, co bezpośrednio przekłada się na powszechność. Aby wpisać się w potrzeby poznawcze czytelników porozmawiajmy więc dzisiaj o domach. Prawie każdy obywatel posiada własny dach nad głową lub nosi się z zamiarem jego kupna. I tak; albo mieszkamy u rodziców, albo płacimy ratę lokatorskiego czynszu, albo płacimy ratę hipotecznego kredytu, albo jesteśmy bogaci mieszkając u siebie w „spłaconym lokum". Nie zagłębiając się zbytnio w niuanse możemy powiedzieć, iż w PRL-u wszyscy byliśmy bogaci. A teraz na poważnie – co z tymi domami?

Denver jest jednym z najbardziej konkurencyjnych rynków nieruchomości w Ameryce

W miesiącu wrześniu Metro-Denver miało rekordowo niską liczbę domów na sprzedaż. Wystawiono zaledwie 3041 domów jednorodzinnych, co oznacza prawie dwukrotny spadek w porównaniu z poprzednim najniższym poziomem, który we wrześniu 2017 wynosił 5693. Kiedy podaż maleje to popyt i cena automatycznie rośnie. Domy szybko zyskują na popularności, średnia „ilość dni na rynku przed kontraktem" utrzymuje się na rekordowo niskim poziomie i wynosi sześć. Dla przykładu we wrześniu roku 2015 i 2016 „ilość dni na rynku przed kontraktem" była równa dziewięć, co do roku 2020 stanowiło „wrześniowy rekord". Jeżeli połączymy wszystkie sprzedane domy ze wszystkimi ofertami, które aktualnie są pod kontraktem to uzyskana liczba będzie kolejnym „wrześniowym rekordem" ostatnich lat. Ostra konkurencja wśród kupujących spowodowała wzrost cen. I tak, mediana cen domów jednorodzinnych w Denver osiągnęła rekordową wartości 510 000 dol. To samo tyczy się mieszkań, a ich mediana cenowa wynosi 334 752 dol.

Potencjalni sprzedawcy domów wahają się jednak przed wystawieniem ich na rynek, ponieważ myśl o przeprowadzce i logistyce tego procesu może wydawać się zniechęcająca podczas pandemii. Niepewność ekonomiczna jutra też nie sprzyja w podejmowaniu większych, życiowych decyzji.

Z drugiej strony nabywcy domów mają większą niż kiedykolwiek potrzebę zorganizowania własnej przestrzeni mieszkalnej, która w czasie pandemii może również pełnić funkcje biurowe. O wiele łatwiej jest zadbać o sterylność sanitarną własnych kątów niż wspólnych powierzchni lokatorskich. Jednak największym czynnikiem motywującym dzisiejsze kupno domu jest chęć skorzystania z rekordowo niskich stóp procentowych.

Tanie pieniądze. Oprocentowanie kredytów hipotecznych spadło w zeszłym miesiącu i

osiągnęło najniższy poziom w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Liczba wniosków o nowe kredyty hipoteczne oraz prze finansowania kredytów egzystujących stale rośnie. Oprocentowanie 30-to letniej pożyczki, z 20-to procentowym wkładem własnym, przy dobrej zdolności kredytowej kształtuje się na poziomie 2,75% - 3%. Jeżeli Twoje aktualne oprocentowanie wynosi 3,75% lub więcej to śmiało możesz myśleć o jego prze finansowaniu. Dla wszystkich tych, którzy kredytu hipotecznego nie posiadają, nadszedł czas aby go uzyskać. Tańsze pieniądze w banku - już nigdy nie będą.

Ku przestrodze dnia jutrzejszego

Aby jednak nie popaść w zbyt duży optymizm, musimy stale uświadomić sobie w którym miejscu jest nasza ekonomia. Kryzys zdrowotny i gospodarczy sprawił, że rok 2020 był dla wielu Amerykanów rokiem, o którym powinni jak najszybciej zapomnieć. Do tego pożary na Zachodzie i huragany na Wschodzie do dzisiaj spędzają sen z oczu wielu ludziom. To wszystko jest faktem. Covid-19 oraz wielomiesięczne zamrożenie gospodarki kraju, codziennie rysuje negatywny wizerunek naszego bytu. Należy jednak pamiętać aby nie dać się ponieść panice strachu, której echa słychać już od marca – ceny domów spadną o 50%! Pomimo tego co obiecują nam niepoprawni panikarze, amerykański rynek nieruchomości podczas pandemii radzi sobie lepiej niż wszystkie inne sektory gospodarki na świecie.

Skoro kryzys mieszkaniowy Covid 2020 nie wypalił, to niepoprawni panikarze musieli go jakoś zreformować. Przesunęli w czasie i zmienili jego nazwę na krach Forbearance 2021.

Forbearance - *w kontekście procesu hipotecznego, jest specjalną umową pomiędzy pożyczkodawcą a pożyczkobiorcą, mającą na celu opóźnienie egzekucji. Gdy kredytobiorcy hipoteczni nie są w stanie spełnić warunków spłaty, pożyczkodawcy mogą zdecydować się na odroczenie tej spłaty w czasie.*

Zgodnie z tą nową i „ulepszoną" teorią krachu Forbearance 2021, kiedy plany restrukturyzacji pożyczek wygasną, nastąpi wielka fala - wymuszonych przejęć (foreclosures). A wtedy ceny domów spadną o 50%!

Foreclosure - *jest to proces prawny, w ramach którego pożyczkodawca próbuje odzyskać saldo pożyczki od pożyczkobiorcy, który przestał dokonywać należnych płatności, zmuszając go do sprzedaży aktywów stanowiących zabezpieczenie pożyczki.*

Aby ponownie nie popaść w panikę strachu należy sobie uświadomić, iż praca powoli wraca. W listopadzie otwartych jest więcej biznesów niż było w marcu. A skoro tak, to jest szansa, że więcej osób dobrowolnie zrezygnuje z planu „bankowej wyrozumiałości" i ureguluje swoje zobowiązania. Odradzający się rynek pracy jest głównym wskaźnikiem, że niektóre z tych odroczonych w czasie pożyczek mogą zostać zmodyfikowane i na powrót uzyskać prawomocny status. Aby rynek mieszkaniowy załamał się z powodu zbyt wielu niespłaconych kredytów po zakończeniu programów restrukturyzacyjnych, liczba kredytów w tych programach musiałaby znacznie wzrosnąć. Dla przykładu, aby w następnym roku nastąpił 50% spadek cen nieruchomości to suma pożyczek restrukturyzacyjnych musiałyby przekroczyć wartość 10 milionów. Dane opublikowane na początku października pokazują, że liczba tych pożyczek spadła o 18%, a ich wartość wynosi obecnie 2,97 miliona. Ten pozytywny trend pozwala nam być ostrożnym optymistą. Wciąż jesteśmy na wczesnym etapie odzyskiwania „forbearance" ale liczba potencjalnie zagrożonych pożyczek maleje. Poza tym, kimkolwiek będzie prezydent w przyszłym roku, mamy dobrą szansę na jego wyrozumiałość oraz chęć przedłużona programu, być może w jakimś innym formacie. Nie zapominajmy też, że dzisiejsi właściciele domów mieli zdrowy profil finansowy, kiedy pierwotnie kupowali i zaciągali swoje pożyczki. Robili to również z niemałym udziałem własnego kapitału. Po dziesięciu latach wzrostu cen nieruchomości, ich pozycja kapitałowa znacznie się poprawiła. W roku 2020 ceny domów nadal rosną, rośnie kapitał. Popyt na kredyty hipoteczne jest najwyższy od 11 lat. Definitywnie jest to rynek sprzedawcy, a nie rynek na krawędzi krachu.

Biorąc pod uwagę te wszystkie czynniki, wydaje się mało prawdopodobne, że z powodu krachu Forbearance 2021, czy też z powodu braku popytu będziemy mieli 50% obniżkę cen domów? Dane demograficzne, oprocentowanie kredytów hipotecznych, solidny komponent kapitałowy, powrót miejsc pracy – wszystko to pozwala nam być ostrożnym optymistą

W roku 2021 cyklicznie będziemy do tego tematu powracać i stale go monitorować. Tymczasem bądź pozytywny, zdrowy, bezpieczny – kochany Czytelniku i nie panikuj… zawczasu.

Porady prawne z Polski

Na czym polega wywłaszczenie nieruchomości? część II

ADWOKAT WOJCIECH STROJEK | Warszawa

Kontynuując tematykę związaną z wywłaszczeniem nieruchomości, chciałbym w dzisiejszym artykule przybliżyć kwestię uzyskania odpowiednio wysokiego, satysfakcjonującego nas odszkodowania.

Zazwyczaj właściciel pozostawionej w Polsce nieruchomości dowiaduje się, że jego nieruchomość zostanie wywłaszczona w momencie, gdy wydane jest już zezwolenie na realizację inwestycji np. inwestycji drogowej. Po pierwszym szoku, spowodowanym potwierdzeniem się wcześniejszych informacji, że „chcą budować drogę" warto, zamiast skupiać się na blokowaniu nieuniknionej już inwestycji, zastanowić się jak zmaksymalizować przysługujące nam odszkodowanie i skorzystać ze wszystkich przewidzianych prawem możliwości. W ten sposób fakt utraty nieruchomości zostanie nam odpowiednio zrekompensowany.

Wysokość odszkodowania za wywłaszczenie ustala starosta w drodze decyzji administracyjnej. Jeżeli jesteśmy niezadowoleni z wysokości odszkodowania to możemy odwołać się do organu wyższego stopnia, czyli do wojewody, ale mamy na to tylko 14 dni od jej doręczenia. Odwołanie powinno zostać rozpatrzone w ciągu miesiąca. Na decyzję wojewody można natomiast złożyć skargę do wojewódzkiego sądu administracyjnego w terminie 30 dni od jej doręczenia.

Starosta ustala wysokość odszkodowania według stanu, przeznaczenia i wartości wywłaszczonej nieruchomości w dniu wydania decyzji o wywłaszczeniu. Odszkodowanie powinno odpowiadać wartości rynkowej wywłaszczonej nieruchomości. Przy określaniu wartości rynkowej nieruchomości uwzględnia się w szczególności jej rodzaj, położenie, sposób użytkowania, przeznaczenie, stan nieruchomości oraz aktualnie kształtujące się ceny w obrocie nieruchomościami.

Ustalenie wysokości odszkodowania następuje po uzyskaniu opinii rzeczoznawcy majątkowego, określającej wartość rynkową wywłaszczonej nieruchomości. Zapłata odszkodowania następuje jednorazowo, w terminie 14 dni od dnia, w którym decyzja o odszkodowaniu stała się ostateczna.

W pewnych sytuacjach może zostać wydana dodatkowa decyzja o niezwłocznym zajęciu nieruchomości. W takim przypadku na wniosek osoby wywłaszczanej wypłaca się zaliczkę w wysokości 70 % wartości odszkodowania. Zapłata zaliczki następuje jednorazowo w terminie 50 dni licząc od dnia złożenia wniosku o wypłatę zaliczki. Wysokość odszkodowania za wywłaszczenie nieruchomości oczywiście pomniejszona zostanie o wypłaconą wcześniej zaliczkę.

W rozliczeniu należnego odszkodowania za wywłaszczenie można również otrzymać nieruchomość zamienną z zasobu Skarbu Państwa, gminy, powiatu albo województwa. W takiej sytuacji w decyzji wywłaszczeniowej określa się wysokość odszkodowania, wartość wskazanej nieruchomości zamiennej oraz ewentualną dopłatę wyrównawczą. Wywłaszczony ma co prawda prawo przyjąć lub odrzucić taką propozycję, ale nie może sam wnioskować o przyznanie nieruchomości zamiennej. Decyzja o zastosowaniu tej formy odszkodowania należy wyłącznie do organu orzekającego, który nie jest związany oczekiwaniami wywłaszczonego w tej sprawie ani nie musi wyjaśniać, dlaczego nie przyznał mu nieruchomości zamiennej. Nieruchomość przyznana w drodze zamiany powinna być podobna pod względem sytuacji prawnej (prawo własności lub prawo użytkowania wieczystego) oraz innych cech do nieruchomości odebranej.

Kiedy mogą nastąpić problemy w wypłacie odszkodowania? Niestety, może się zdarzyć, że na należne odszkodowanie będzie trzeba poczekać nawet kilka lat. Dotyczy to zwłaszcza sytuacji, kiedy odszkodowanie za wywłaszczoną nieruchomość obejmuje kilka osób – współwłaścicieli wywłaszczanej nieruchomości. Wystarczy, że jedna z nich będzie niezadowolona z ustaleń i wniesie skargę do sądu administracyjnego, a uniemożliwi to wypłacenie odszkodowania pozostałym osobom, które nie zgłaszają żadnych zastrzeżeń. Po wniesieniu skargi do sądu administracyjnego w sprawie ustalenia odszkodowania za wywłaszczoną nieruchomość organ, który wydał decyzję, wstrzymuje z urzędu jej wykonanie. A zatem do czasu wydania prawomocnego wyroku przez sąd administracyjny, żadna z osób nie otrzyma odszkodowania. Postanowienia organu w tym zakresie nie można w żaden sposób ominąć ani podważyć, ponieważ nie przysługuje na nie zażalenie. W takiej sytuacji niestety, bez względu na to, czy zgłaszaliśmy zastrzeżenia do decyzji ustalającej odszkodowanie, czy nie - będziemy zmuszeni czekać na rozstrzygnięcie sądu administracyjnego.

Serdecznie zapraszam do kontaktu
Adwokat Wojciech Strojek
Auris Kancelaria

ul. Krucza 16/22 lok. 7
00-526 Warszawa
tel.: +48 697 945 877
e-mail: adwokat@auriskancelaria.pl
www.auriskancelaria.pl

Wspomnienia wojenne Krystyny Orłowskiej

Część I

SPISAŁA KATARZYNA HYPSHER

Krystyna Orłowska, z domu Karwowska, miała 12 lat, kiedy rozpoczęła się II wojna światowa. W czerwcu 1941 roku została zesłana na Syberię, gdzie spędziła dwa lata, następne kilka lat na Bliskim Wschodzie. Rodzice jej nie przeżyli zsyłki. Po zakończeniu wojny nie wróciła już do Polski. Od 1956 roku mieszkała w Nowym Jorku, gdzie pracowała dla Radia Wolna Europa i dla „Nowego Dziennika". Od 1999 roku mieszka w Denver.

Jej wspomnienia z zsyłki na Sybir i długich lat na nieludzkiej ziemi są pasmem wstrząsających losów ludzkich w tryby okrutnej historii, która dotknęła wiele tysięcy ludzi i zmieniła ich życie na zawsze.

Pierwsza część została spisana na podstawie rozmów z panią Orłowską na przełomie 2010 i 2011 roku w jej mieszkaniu w Denver.

Zdjęcie sprzed wojny - Zofia Karwowska z małą Krysią (w białej czapce)

Wilno

Gdy wybuchła wojna mieszkałam z rodzicami Zofią i Michałem (oficerem wojsk łączności) Karwowskimi w Wilnie. Chodziłam do szkoły Sióstr Nazaretanek i wiosną 1939 r. zdałam egazmin do gimnazjum. Mieszkaliśmy w centrum miasta przy ulicy Jagiellońskiej 19, zajmując obszerne mieszkanie. W pierwszych dniach wojny do Wilna zaczęli licznie przybywać ludzie z zachodniej Polski, uciejąc przed Niemcami. Sądzili, że na wschodzie kraju będzie bezpieczniej. Moja matka w ramach pomocy dla Czerwonego Krzyża pełniła dyżury na stacji kolejowej pomagając uciekinerom w rozlokowaniu się w Wilnie. 17-go września nadeszła wieść o przekroczeniu przez Rosję granicy i o idących wojskach w kierunku Wilna. Na polecenie ojca, wraz z mamą spaliłyśmy wszystkie dokumenty i papiery z jego biurka, a także fotografie wielu znajomych w mundurach, aby nie dostały się ręce Rosjan. Mama przyjęła do naszego mieszkania ponad dwadzieścia uciekinierów, aby nie zostali bez dachu nad głową.

(od redakcji)

Mapa Polski w latach 1921-39

Pod koniec 1920 doszło do konfliktu polsko-litewskiego, następnie gen. Lucjan Żeligowski, z polecenia naczelnego wodza, Józefa Piłsudskiego, wraz z dywizją litewsko-białoruską złożoną z Polaków pochodzących z Wileńszczyzny, wkracza na Litwę i zajmuje Wilno. Gen. Żeligowski tworzy wówczas Litwę Środkową.

Dnia 20 lutego 1922 r. Sejm Wileński wydaje deklaracje o połączeniu Litwy Środkowej z Polską. Litwa uważała Wilno za swoją stolicę. 17 marca 1938 r. Polska wysunęła ultimatum do Litwy z kategorycznym żądaniem nawiązania stosunków dyplomatycznych. Rząd litewski 19 marca ultimatum przyjął.

23 sierpnia 1939 r. III Rzesza i Związek Radziecki zawarły tajny układ (pakt Ribbentrop-Mołotow), który sytuował Litwę w niemieckiej strefie wpływów. Po pokonaniu Polski przez Niemcy i Rosję w kampanii wrześniowej, Sowieci oddali zajęte Wilno Litwinom. Ostatecznie ponieważ armie niemieckie znacznie przekroczyły na wschodzie ustaloną linię podziału Polski na Wiśle i Sanie, w ramach rekompensaty Hitler oddał Litwę w radziecką strefę wpływów. Dokonując licznych prowokacji granicznych w 1940 ZSRR wysunął wobec Litwinów ultimatum, żądając utworzenia baz sowieckich na terytorium republiki.

15 czerwca 1940 roku 150 tysięczna armia radziecka rozpoczęła okupację Litwy. Kilkanaście dni przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, rozpoczęto deportacje 35 tysięcy ludności na Syberię.

Noc przed wejściem bolszewików do miasta była przerażająca. Wilno nie miało szansy obrony. Władze polskie przed opuszczeniem miasta otworzyły więzienia (takie obowiązywało prawo) wypuszczając więźniów na wolność. Bandy pijanych przestępców zaczęły grasować po mieście, dobijając się do domów. Nasza grupa schroniła się piętro niżej u przyjaciela – sąsiada, który był konsulem Estoni czy Łotwy. Naiwnie sądziliśmy, że tam bedziemy bezpieczni.

Nad ranem weszli do miasta sowieci. Z miejsca zaprowadzili nowy „porządek": godzinę policyjną i puste półki w sklepach. Nad miastm unosił się okropny smród brudnej benzyny. Był to dla nas bardzo trudny okres; częste, nocne aresztowania znanych osobistości, częste rewizje w poszukiwaniu broni. Przez nasz dom przewijało się sporo osób. Poza uciekinerami z Polski zamieszkały z nami dwie rodziny wyrzucone ze swoich domów na ulicę i inna rodzina spoza Wilna, gdyż na wsi zaczęto napadać i mordować ziemian. Bolszewicy naturalnie wiedzili, że w naszym mieszkaniu jest ruch i pilnowali nas dokładnie. Na klatce schodowej zawsze stał "stróż", może polowali na kogoś konkretnego – tego nie wiem. Jeden z lokatorów, wynajmujacy pokój u sąsiadów, podający się za studenta (mój ojciec twierdził, że to nie żaden student, tylko podejrzany typ - miał rację). Po wejściu bolszewików zajął wysokie stanowisko.

Nasza kamienica była duża i ładna. To był ciekawy budynek, również ze względów strategicznych, gdyż miał przejście z ulicy Jagiellońskiej na ulicę Wileńską 30, i z faktu tego korzystano. Po latach, w Ameryce rozmawiałam z człowiekim, który był AK-owcem w Wilnie i dobrze tą kamienicę pamietał oraz jej "walory obronne".

Ten trudny i niebezpieczny okres, na szczęście nie trwał długo. Po paru tygodniach Rosjanie wycofali się z miasta i przekazali Wilno Litwinom. Ta zmiana przyłączenia Wilna do Litwy wpłynęła korzystnie na naszą sytuację. Ustały rewizje i zapełniły się półki w sklepach. Udało nam się nawiązać kontakt z ojcem, który był internowany na Litwie. W mieszkaniu zrobiło się luźniej. Uciekinierzy, zaczęli wracać do domów. Miejscowi lokowali się gdzie było im wygodniej. U nas zostało bardzo miłe małżenstwo z Warszawy i znajoma z córką, żona ucie-kinera internowanego na Litwie.

Do szkoły nie chodziłam, gdyż została zamknięta, a w publicznych gimnazjach były ciągłe awantury i bójki z Litwinami, aresztowano nawet uczniów. Uczyłam się w domu przy pomocy studentki. Zima była ciężka. W lutym 1940 roku zaczęły się masowe wywózki ludności do Rosji z terenów przez nich zajętych. Zostaliśmy wtedy jeszcze oszczędzeni i czuliśmy się względnie bezpiecznie, bo Litwy jeszcze nie ruszono. Tak było aż do czerwca 1940 r. gdy Hitler zajmował Paryż, a jego sojusznik Stalin, przejął Wilno i całą Litwę. Był to koniec "wielkiej Litwy" - Sowieci wkroczyli do miasta po raz drugi.

Bożenka Bąk

Gdy mama zbierała ludzi ze stacji kolejowej i przyprowadzała do domu, była wśród nich mała dziewczynka. Nazywała się Bożenka Bąk. Miała 5 lat i prześliczne, szare, wielkie oczy. Mama przyprowadziła ją do nas do domu. Dziecko było mocno przeziębione i miało wysoką temperaturę. Dziewczynka nie

C.d.

chciała mówić, od innych ludzi zabranych ze stacji kolejowej dowiedzieliśmy się, że podczas ich podróży do Wilna Niemcy zbombardowali transport i że matka Bożenki zginęła.

Ja byłam jedynaczką, więc moja mama uznała, że ją zaadoptujemy i traktowała ją jak swoje dziecko. Bożenka nie odstępowała mojej mamy na krok, cały czas trzymała ją za spódnicę. Zadomowiła się u nas, zdobyliśmy nawet dla niej łóżeczko. Staraliśmy się ją dobrze karmić, w miarę możliwości, bo o jedzenie było coraz trudniej.

Dziecko jednak milczało. Któregoś dnia, tuż przed godziną policyjną, ktoś zapukał do drzwi. Była to kobieta, która okazała się być matką Bożenki. Wszyscy się bardzo ucieszyliśmy. Graniczyło to z cudem, że ona żyje i że dostała się do Wilna przez granicę. Okazało się, że została ranna podczas bombardowania, ale przeżyła. Bożenka wtedy spała, kobieta widząc swoje dziecko spokojnie spiące, upadła w podzięce do stóp mojej matki – była to scena jak z filmu, tak bardzo wzruszająca. Obie płakały. Rano, gdy Bożenka obudziła się, wzięła je obie za szyję i trzymała je mocno, płakała i... zaczęła mówić. To prawdziwa wojenna historia, ale z „happy endem", a niewiele takich było.

Pianino

Mama była zawsze bardzo rozsądna. Mówiła, że podczas wojny musimy pozbywać się ciężarów – czyli sprzętów, które były zbędne. W naszym mieszkaniu mieliśmy pianino – miałam uczyć się na nim grać, choć nie bardzo się do tego garnęłam. Mama uważała, że pianino trzeba sprzedać, ponieważ jeśli zajdzie konieczność ucieczki, to pianina ze sobą nie weźmiemy. Pierwsza zima podczas wojny – zima przełomu 1939 i 1940 roku – była niesamowicie ostra. Za zysk z pianina kupiliśmy całą furmankę opału. Gdy siedzieliśmy wieczorami wraz z różnymi ludźmi u nas w mieszkaniu, w którym poza piecami był również kominek, mama zwykła mówić: „niech ktoś podrzuci kawałek pianina!". Można powiedzieć, że czasami było wesoło, pomimo trwającej wojny. Pianino spełniło wówczas wielką rolę. W takich sytuacjach nie można oglądać się na materialne dobra. Mama miała rację, pozbywając się zbędnych rzeczy, to pomogło nam wtedy przetrwać.

Zmiana adresu

Bolszewicy po ponownym wkroczeniu do Wilna, zabrali się ostro do wprowadzenia nowego „porządku". 1 września 1940 r. wyrzucono nas z mieszkania. Lokatorom w całej kamienicy dano 48 godzin na opuszczenie mieszkań i opróżnienie z całego dobytku i mebli. Musieliśmy wynająć furmankę aby wywieźć meble.

To pozwoliło mi uzmysłowić sobie, czym naprawdę jest wojna. Miałam wtedy 12 lat i oczami dziecka obserwowałam wszystko, próbując zrozumieć, co się dzieje dookoła. Ta przymusowa wyprowadzka z rodzinnego domu była dla mnie takim pierwszym tragicznym uzmysłowieniem sobie tej beznadziejnej sytuacji. Nie można było nigdzie wynająć mieszkania. Rosjanie byli znani z tego, że kłamią: mówili nam, że nikomu krzywdy nie robią, „nie wyrzucają na ulicę" i dali nam adres, gdzie mogliśmy rzekomo się przeprowadzić. Brzmiało to absurdalnie. Dali nam jakiś adres przy ulicy Legionowej – powiedzmy, że pod nr 150 (już nie pamiętam dokładnie) – tymczasem ulica kończyła się numerem 96, a dalej był las...

Udało nam się wynająć mieszkanie na peryferiach miasta u Rosjanki, która przeszła rewolucję w Rosji. Zamieszkałyśmy w jej małym domku.

Ojciec

Ojciec mój – Michał Karwowski – był oficerem wojsk łączności, z wykształcenia był inżynierem. Gdy wybuchła wojna, miał 48 lat. Po wejściu bolszewików do Wilna został internowany na Litwie w Połądze, a potem w Kalwarii. Po przebyciu ciężkiej operacji w szpitalu w Kownie został osadzony w tamtejszym więzieniu, dołączając do grupy uwięzionych tam wcześniej Polaków. Latem 1940 roku bolszewicy przystąpili do likwidowania obozów dla internowanych, których wywozili w głąb Rosji.

Ojciec nadal w tym czasie przebywał w więzieniu. Dotarła do nas wiadomość, że bolszewicy rozstrzeliwują internowanych w kowieńskim więzieniu. W czasie wojny dochodziły do nas rozmaite wiadomości i informacje dotyczące członków rodziny, którzy potrzebują pomocy: pieniędzy, ubrania, butów itp. Wykorzystywano samotne kobiety, których mężowie byli w wojsku. Na szczęście wiadomość o rozstrzeliwaniu więźniów w Kownie okazała się nieprawdziwa. Jesienią całą grupę więźniów, w której był również mój ojciec, zwolniono, a on wrócił do Wilna. Zwolniono ich z obowiązkiem meldowania się dwa razy w tygodniu w siedzibie NKWD. Ojciec został skierowany do pracy przy kamieniołomach.

Michał Karwowski po prawej mała Krysia

W czasie wizyt w NKWD Polacy byli usilnie namawiani do podjęcia współpracy. Ojcu obiecywano zwrot stopnia wojskowego i zapewnienie bezpieczeństwa. Jednak propozycja ta była dla niego nie do przyjęcia. Mój ojciec był legionistą i powiedział, że już raz składał przysięgę wojskową, która go nadal obowiązuje. Wychodząc kiedyś z kolejnej „wizyty" w NKWD, usłyszał wypowiedziane cichym głosem ostrzeżenie od Rosjanina – „uciekaj z miasta". Ojciec zdawał sobie sprawę, że wolność, na której się znalazł, nie potrwa długo. Bał się, że któregoś dnia znajdzie się w więzieniu wraz z pospolitymi przestępcami. Nieraz mówił, że gdyby się dostał do niewoli niemieckiej jako wojskowy i tam zginął, to prawdopodobnie rodzina zostałaby zawiadomiona, natomiast gdyby dostał się do niewoli rosyjskiej, to ślad by po nim zaginął. „Rosjanom nie można ufać" – twierdził. W naszej rodzinie w przeszłości kilku jej członków zostało zesłanych na Sybir. Jednym z ostatnich był szwagier ojca, którego zesłano do Irkucka. Na szczęście przeżył wygnanie i po rewolucji wrócił do kraju. Skomponował po latach muzykę do „Marszu Sybiraków", który do dziś jest grany na uroczystościach ku pamięci zesłańców.

Ojciec szykował się do ucieczki. Dowiedzieliśmy się o możliwości przedostania się z przez Litwę do Szwecji. Mama była w tych sprawach dobrze zorientowana. O tym, że wszystkie przygotowania i fałszywe dokumenty były już gotowe oraz że miał opuścić Wilno 29 czerwca opowiedziała mi dopiero w Rosji.

Aresztowanie

W czerwcu 1941 r. rozeszła się po mieście wiadomość, że bolszewicy podstawiają dużą ilość wagonów na stacji w Nowej Wilejce, a także, że przybył do Wilna spory oddział wojska. Na kolei wciąż, podobnie jak przed wojną, pracowało wielu Polaków, którzy doskonale orientowali się w sytuacji na dworcach w mieście, w przyjazdach pociągów z Rosji, wiedzieli też, co jedzie dalej, do Niemiec, jak np. liczne transporty z zaopatrzeniem.

14 czerwca, wcześnie rano, obudziło mnie silne potrącenie w ramię. W półmroku ujrzałam nad sobą kilka postaci w ohydnych szarych czapkach z czerwoną gwiazdą, z karabinami na sztorc. Kazali mi wstać, ubrać się, przejść do drugiego pokoju. Wiedziałam, co nas czeka. Przed opuszczeniem sypialni zdjęłam wiszący nad moim łóżkiem niewielki obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej i schowałam go pod ubraniem. Obrazek ten przeżył wygnanie i wierzę, że Matka Boska do dziś nadal czuwa nade mną. Gdy weszłam do drugiego pokoju, ujrzałam tam dziewięciu żołnierzy i cywilnego komunistę z czerwoną opaską na ramieniu. Ledwie się wszyscy mieścili w małym pokoju. Przywieźli ojca z „roboty" i zaczęli go obszukiwać, kazali mu podnieść ręce do góry. Zaczęłam krzyczeć ze strachu, gdyż myślałam, że chcą go rozstrzelać. Wiedziałam, że są do tego zdolni, bo to się zdarzało. Oficer nawet grzecznie mnie uspokoił i oświadczył, że nic mu nie grozi, że sprawdzają tylko, czy nie ma przy sobie broni. Kazano się nam pakować, a oni przeprowadzali rewizję. Bolszewicy od samego początku swego pobytu na Litwie ciągle przeprowadzali rewizje i szukali broni. Wiedzieli, że jeśli pozbawią ludzi broni, ci nie będą już mogli się bronić.

Krasnoarmiejcy wszędzie szukali broni, a wiadomo, że ich rewizje były wprost maniakalne – wszystko przewracali do góry nogami. Szukali też pieniędzy. Ludzie w szale zamieniali pieniądze na złoto, potem nie wiedzieli, gdzie to wszystko chować – w związku z tym powstało dużo zabawnych historii. Chowano na przykład cenniejsze przedmioty do doniczek z kwiatami – ale okazało się, że bolszewicy i tam szukali. Kiedyś moja mama stwierdziła, że da spokój i schowa swoją biżuterię po prostu do biurka, i już! Panie szyły sobie pasy pod ubraniem, pod bieliznę i tam chowały pierścionki, łańcuszki... Dobrą kryjówką była na przykład parasolka. Nasz krewny schował wszystkie swoje oszczędności w obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej – był to spory obraz, który był w posiadaniu jego rodziny przez lata. Ostrzegł on swoją żonę, aby w razie ucieczki koniecznie go ze sobą zabrać, aby mieć Opatrzność nad sobą. Nic nie wspomniał o pieniądzach ukrytych w obrazie. Później faktycznie musieli uciekać przed bolszewikami, ale wuja wtedy z nimi nie było. Dopiero po wojnie spotkali się wszyscy i wuj zapytał o ten obraz, ale ciocia powiedziała, że był za duży i zabrała ze sobą inny, malutki, bardziej poręczny...

Ostatni dzień przed wywózką był dla nas bardzo długi. Enkawudowcy przynieśli trzy teczki z papierami. Teczka ojca była innego koloru, udało mi się do niej zajrzeć, znałam już trochę rosyjski. Na teczce ojca było napisane „zaklućnyj" – aresztowany, a na mojej i mamy „wolnaja zsylka" – wywózka. Mama chciała dać znać ciotce lekarce, że nas wywożą. Rosjanin się zgodził, żebym poszła z jednym z nich do sąsiadki – krawcowej, niby coś jej oddać, a w rzeczywistości powiadomić o tym, co się dzieje. Nawet zgodzili się, żebym kupiła po drodze chleb dla nas. Przed piekarnią stała długa kolejka, ludzie, widząc, że jestem aresztowana, ustąpili – poprosiłam o dwa bochenki chleba, piekarz nie wziął za nie pieniędzy.

Na zewnątrz naszej chałupy stała enkawudowska ciężarówka, tzw. lora. Było już po południu, kiedy nas na nią zapakowali. Odjeżdżając, zobaczyliśmy syna mojej ciotki – Janusza, który nie podszedł bliżej, ale widział nasz odjazd. Przyszedł, gdyż dotarła do niego wiadomość, że nas wywożą. Odprowadził nas jedynie wzrokiem.

Sporo tych ciężarówek jechało. Główne ulice były zablokowane, miasto obstawione. Gdy jechaliśmy jedną z dużych ulic, ktoś z okna rzucił dla mnie kwiatek. Ludzie wiedzieli, co się dzieje. Dowieźli nas do stacji kolejowej. Tam czekały już na nas pociągi, wszędzie było dużo wojska. Podwieźli nas pod jeden z pociągów i kazali ojcu wysiąść. Chciałam dać mu kupiony przez siebie chleb, ale ten oficer, który po nas przyjechał, nie pozwolił mi na to. O ile był miły, gdy był sam z nami, to kiedy był w otoczeniu innych żołnierzy, zmienił się zupełnie. Jeszcze gdy pakowaliśmy się, pozwolił kupić ten chleb, zawiadomić innych o naszym wyjeździe, spakować wiele rzeczy oraz zapasy żywności: smalec, kaszę. Powiedział nawet, że tam, dokąd jedziemy nie ma NIC. I wielu ludzi, z którymi później w przyszłości rozmawiałam, którzy przeżyli podobne losy, zaobserwowali to samo, co ja: że gdy bolszewicy byli sami, stać ich było na ludzkie gesty, natomiast w większym gronie stawali się bezwzględnie okrutni.

Wyprowadzili ojca z ciężarówki do wagonu. Dostrzegłam jego twarz w zakratowanym oknie. To był ostatni raz, kiedy go widziałam. Nasze pożegnanie. Nikt z nas nie wiedział, dokąd jedzie.

CDN

Różności

Yo papa, yo mama czyli Internet, cyrk i lama

w sieci wyszperał MARCIN ŻMIEJKO

UWAGA! - BOŻE NARODZENIE 2020 NIE ZOSTANIE ODWOŁANE!

Biuro Świętego Mikołaja w Finlandii przekazało komunikat, że Święty Mikołaj jest zaniepokojony problemami wywołanymi przez koronawirusa, ale mimo okoliczności przygotowania idą świetnie. Na początek listopada w Rowaniemi zaplanowane jest oficjalnie tradycyjne otwarcie świątecznego sezonu. Ta uroczystość, organizowana w wiosce corocznie od ponad 50 lat, w tym roku – jako znak obecnych czasów – odbędzie się wirtualnie i śledzić będzie ją można na całym świecie. I bardzo dobrze, miałem w przeszłości założyć strój Mikołaja i bez maski wypociłem około 2 kg.

PERWERSYJNY DZIENNIKARZ CNN ZAWIESZONY

Jeffrey Toobin, publicysta między innymi CNN oraz The New Yorker, zszokował wszystkich podczas konferencji na Zoomie. Podczas przerwy dziennikarz zaczął oglądać na laptopie filmy dla dorosłych i ....zadowalać się. 60-latek nie miał pojęcia, że kamerka wciąż jest włączona i wszyscy uczestnicy spotkania oglądali jego zabawę.

NIEUDANE ZABÓJSTWO

60-letni koleś z Nowego Targu miał dosyć małżeństwa, a że wiadomo, rozwód jest nie-chrześcijański, to postanowił połowicę zabić. Zabrał więc małżonkę na wycieczkę, która miała być jej ostatnią. Zaparkował na parkingu przy placu manewrowym i zaczął ją bić i dusić. Próbował też wlać do jej ust (prawdopodobnie kwas). Nagły przypływ adrenaliny był jednak widocznie za duży, bo niedoszły morderca dostał zawału i zmarł. Jeśli więc planujesz w najbliższym czasie morderstwo, wcześniej sprawdź sobie ciśnienie. A jeśli masz 60 lub więcej lat… nie idź tą drogą.

ODESZLI DWAJ WYBITNI POLSCY AKTORZY

Wojciech Pszoniak i Dariusz Gnatowski. Obaj osiągnęli różne pułapy w branży aktorskiej. Pszoniak to historia polskiego kina, niezapomniany Moryc Welt z "Ziemi Obiecanej" czy Maximilien de Robespierre z "Dantona". Gnatowski za to przez rolę Arnolda Boczka należał do wyrazistych postaci polskiego sitcomu „Świat według Kiepskich". Gnatowski to również aktor filmowy i teatralny ale nie tak wyrazisty jak Pszoniak. Na pewno ich odejście to wielka strata dla polskiej kinematografii.

Wojciech Pszoniak ur. 2 maja 1942, Lwów, Ukraina | zmarły: 19 października 2020, w Warszawie

Dariusz Gnatowski ur. 24 maja 1961 w Rudzie Śląskiej | zmarły: 20 października 2020 w Krakowie

SZPITAL POLOWY NA STADIONIE NARODOWYM

Covid-19 daje popalić na całym świecie. Wiem co piszę, gdyż sam czekam na wynik testu (ma być od 3 do 6 dni). W Polsce na Stadionie Narodowym w Warszawie powstaje pierwszy szpital polowy, w którym będą leczeni chorzy na COVID-19. Placówka w chwili kiedy ukaże się ten artykuł będzie miała już pierwszych pacjentów. A co z tymi, którzy mają zakaz stadionowy?

Krzyżówka Życia Kolorado

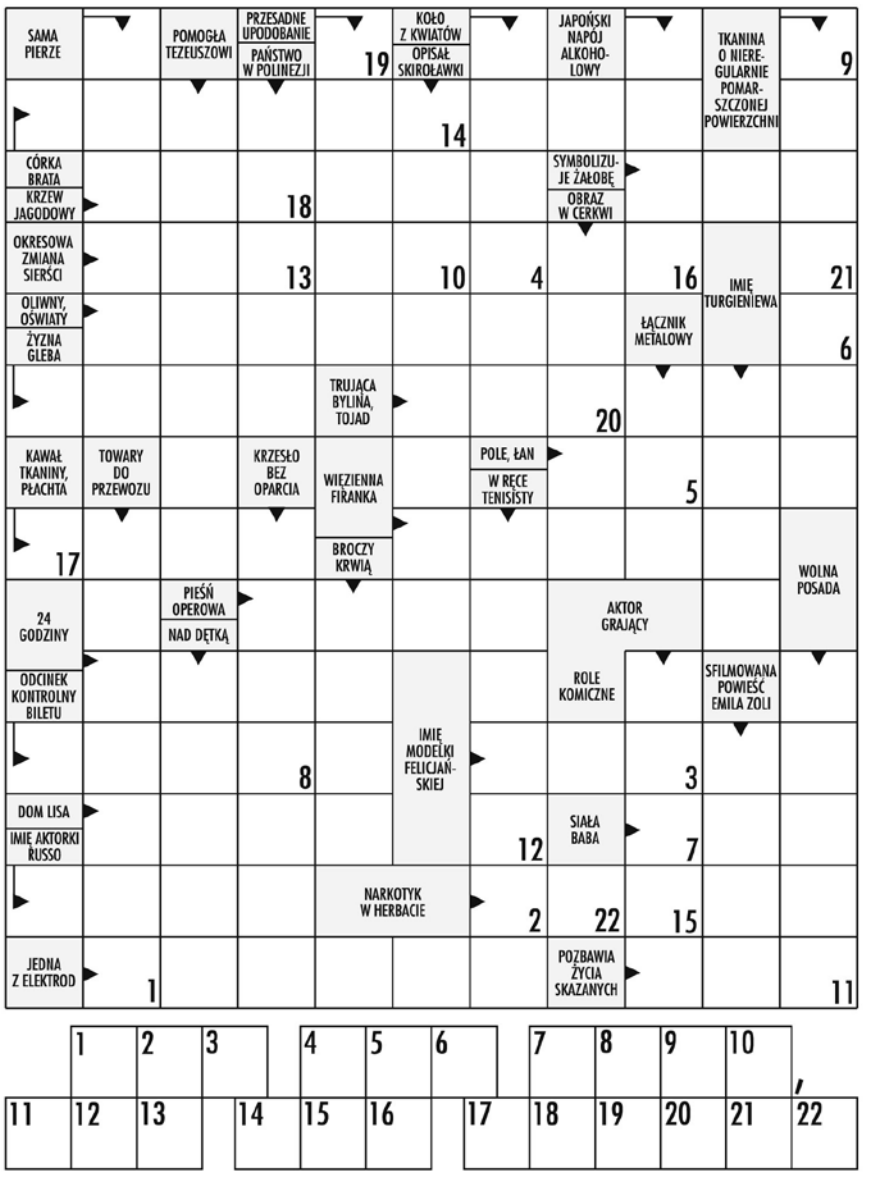

CANAL+ WYPUSZCZA KRÓLA

Szczepan Twardoch – pisarz i publicysta to polskie dobro narodowe. Jego powieść "Król" oraz kolejna część – "Królestwo" to majstersztyki pierwszej klasy. Dzięki Bogu na talencie Twardocha poznali się producenci programu Canal+ i już w listopadzie będziemy mogli obejrzeć "Króla". Serial jest obsadzony w późnych latach 30-tych XX-go wieku i opisuje Warszawę, którą „rządzi" gangster – Kum Kaplica a jego ręką jest Jakub Szapiro – bokser żydowskiego pochodzenia. Książka zrobiła na mnie takie wrażenie, że chciałoby się ją przeczytać jeszcze raz. W obsadzie serialu zobaczymy m.in. Arkadiusza Jakubika (Kaplica), Michała Żurawskiego (Szapiro) i Borysa Szyca (Radziwiłek).

PAPIEŻ POPARŁ ZWIĄZKI JEDNOPŁCIOWE

Franciszek zaszokował cały świat po tym jak stwierdził, że "ludzie homoseksualni mają prawo być w rodzinie. Są dziećmi Boga i prawo do rodziny. Nikt nie powinien być wyrzucany czy upokorzony. Musimy stworzyć cywilne przepisy o związkach partnerskich. W ten sposób będą chronieni przez prawo. Jestem za tym". Stwierdzenie papieża to niemal rewolucja w bardzo konserwatywnym do tej pory Kościele Katolickim.

O G Ł O S Z E N I E

DROGADICTOS ANONIMOS DA

CALL US!
WE ARE HERE TO HELP!
303-940-5696
5783 Sheridan Frontage Rd, Ste 302
Arvada, CO 80002
ww.daamerica.org

DROGADICTOS ANONIMOS,
is a non-profit association composed of men, women and children who meet voluntarily to free ourselves from the slavery of drugs.
To regain our health, faith and morals we rely on a recovery program of twelve spiritual principles.
Sharing our knowledge and experiences of pain and overcoming.

Polska Grupa AA w Denver

Jeśli naprawdę szczerze chcesz,
a nie potrafisz przestać pić lub podczas picia
nie jesteś w stanie kontrolować ilości
wypijanego alkoholu, to prawdopodobnie
cierpisz na chorobę - ALKOHOLIZM,
którą można opanować i całkowicie wyzdrowieć.
Zapraszamy na nasze spotkanie AA,
gdzie dowiesz się jak wielu z nas
już wyzdrowiało i jak także Ty możesz
pozbyć się tej strasznej choroby.
Spotkania odbywają się w każdą niedzielę
o godzinie 8:15 rano pod adresem:

2525 W. Evans Ave. Denver CO 80219
Po więcej informacji dzwoń pod numer:
303-882-1038 lub 720- 231-1586
Pełna anonimowość uczestników jest zachowana!

Odkrywając polskie i swojskie

Karczma Starej Stajni w Zawidowicach - tak!

KASIA SUSKI

Kiedy 1 września wylatywałam do Polski na kolejną wyprawę mojego życia, z lekką nutką niewiadomej wchodziłam na pokład LOT-u. Pandemia odbija się na każdym z nas i od nas tak naprawde zależy jaka przyszłość nas czeka. Pokorna czy nieokiełznana w skutki… To, co zobaczyłam w Polsce dało mi pewien komfort wakacyjnych marzeń o polskiej przestrzeni od gór po morze. Odpowiedzialność naszych rodaków okazała się mądra, dezynfekcja rąk w każdym miejscu przed wejściem i po wyjściu z każdego sklepu oczarowała mnie. Nakaz noszenia maseczek ogólnie była przyjęta bardzo rozsądnie. Jak to się mówi Polak lubi się buntować, nie lubi zakazów, ale apel władz państwa polskiego dał konstruktywny odzew.

Sporo podróżowałam z moją córką Emiką tutaj jakbym miała codzienny urlop".
Niesamowite wyznanie, nieprawdaż? Posiadłość leży na olbrzymim obszarze zalesionej bajkowej krainy. Restauracja jak i pokoje hotelowe powstały ze starych stajni, wszędzie widać pruskie mury przepiękne wtopione w akcenty polskiej kultury. Prosta, lecz piękna architektura środka jadalni zaprasza na przygodę z kuchnią. Przemiła obsługa zachęca do próbowania każdego dania z karty. A jest w czym wybierać. Każdego dnia karta dań zmienia się, co oznacza że wszystkie potrawy są bardzo świeże, każda potrawa jest dopieszczona smakiem jak i prezentacją podania. Można zjeść tutaj począwszy od klusek śląskich z pieczenią w sosie kurkowym, tudzież pieczoną kaczką, albo zupkę borowikową w pięknie wypieczonym chlebie czy łososia pieczonego na delikatnym szpinaku w towarzystwie bukietu surówek.

Dzień rozpoczynamy przepysznym śniadaniem, w którego skład wchodzą domowe wędliniarskie produkty nabiałowe, własnego wypieku pieczywo jak i pierwszej klasy parzona kawa. Zapach śniadania unosi się w powietrzu tak intensywnie że nie ma opcji pominięcia przyjemności porannej konsumpcji.

Lokal posiada przepiękny olbrzymi kominek w którym zapalany jest ogień. Cała sala jadalna jak i barowa ogarnięta jest niesamowitym ciepłem kominka, słychać też strzelające drewno w towarzystwie ognia. Ściany hotelu restauracji pochłonęły dziesiątki zdjęć z różnymi znanymi ludźmi polskiej estrady, filmu i sportu. Aż dziw bierze ile przyjaciół "Karczma Stara Stajnia" ma na co dzień. Ciekawostką są nagrywane tam zdjęcia do różnych polskich filmów i wideoklipów. Podziwiałam znanych ludzi, znane uśmiechnięte twarze; komentowałam, który aktor lub aktorka gra w jakim filmie, serialu lub które piosenki kojarzyły mi się z celebrytami muzycznymi.

No i właśnie tam odpoczęłam w 100%, objadłam się za wszystkie czasy - zaznaczę typowo staropolskimi potrawami. Zdradzę Wam jeszcze informację, że w pobliskim malutkim miasteczku Gołuchowie znajduje się przepiękny zamek który można zwiedzać z jakże przemiłą panią przewodniczką. Nawet podczas pandemii zamek jest otwarty dla odwiedzających. Okolice zamku to przepiękne: ogrody z 1000 różnych drzew, które znają historię tego miejsca. Jest tam też kameralna kawiarnia, w której koniecznie trzeba przysiąść. Mój zachwyt sięga zenitu, jak można zauważyć i wcale się tego nie wstydzę, wręcz przeciwnie krzyczę wniebogłosy: odwiedźcie te miejsca. Warto - warto - warto!

Kochani, dziś postawiłam na wspomnienia dziś chciałam się z Wami podzielić tym, co widziałam, gdzie byłam tym, co jadłam, kogo

poznałam, a to tylko dlatego że uważam, że było naprawdę warto spędzić czas w tym miejscu i z takimi ludźmi. Kocham życie, kocham podróże, kocham doświadczać wszystko co dobre i kocham się tym wszystkim z Wami dzielić. Nie byłabym sobą gdybym zataiła chodź rąbek tego co stanęło na mojej drodze.

Dlatego polecam bardzo serdecznie miejsce "Karczma Stara Stajnia", które nie tylko Was oczaruje ale i zachęci do powrotów. Szanujmy naszą polskość, miejsca które ją celebrują tradycję, pamiętajmy skąd się wywodzimy i bądźmy wierni naszym korzeniom to na ziemi amerykańskiej.

Wspierajmy polskie biznesy, pasje, wspierajmy polskość. Tak przy okazji życzę Wam wszystkim zdrowego listopada bądźmy czujni, zabezpieczajmy się przed Covid19, nie dajmy się ponieść wrażeniu że on nie istnieje on naprawdę jest i czyha na nasze słabości. Bądźmy mądrzy postępujemy wedle nakazów, po prostu bądźmy bezpieczni. Do zobaczenia w grudniu drodzy Przyjaciele. W pełnym i tym samym składzie zdrowi radośni i uśmiechnięci. Moje ostatnie zdanie ciśnie się na usta mówiąc "Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej" - Pozdrawiam i do następnego razu!

kasiacol@gmail.com

aż do końca października. Własnie jestem w samolocie w drodze do mojego domu w Evergreen. I mimo, iż jestem patriotką i kocham Polskę, szanuje ją, to z wielką radością wracam do domu zwanym Kolorado. Czas ostatnich 2 miesięcy spędziłam bardzo intensywnie w poszukiwaniu nowych, nie odkrytych przeze mnie smaków i miejsc. Nawiązałam naprawdę fajne przyjaźnie w miejscach, które przyjęły mnie w bardzo szlachetny, że aż powiem królewski sposób.

Chciałabym opowiedzieć wam dziś o jednym z takich miejsc,które oczarowało mnie swoją prostotą taką typową polską starą wsią, a co za tym idzie polską gościnnością, talerzem z typowo polską zupą, typowym polskim piwem, uśmiechem i serdecznością. Zabieram Was zatem w podróż do Polski do "Karczmy Stara Stajnia" położonej nieopodal Poznania w pięknych Zawidowicach. Miałam wrażenie że tam zatrzymał się czas w szczęśliwym miejscu i, że ludzie którzy tam pracują są tam bo po prostu lubią i jest to ich pasja. Ujęła mnie pewna młoda osoba, która pracuje tam jako stajenna mówiąc: "Pracuję już tu od dłuższego czasu, ale nie zdążyłam poczuć że to jest praca, jestem przeszczęśliwa że mogę być i rozwijać się w takim miejscu jak to. To co robię nie, mogę nazwać pracą, to jest codzienne poszerzanie mojej pasji do koni jak i do ludzi, czuję się

Żurek podawany jest z jajkiem sadzonym od lokalnych, wiejskich kur. Nieskazitelny smak i zapach żurku zapadł mi w pamięci. Potem, niesamowity szereg deserów od bezowca, po sernik i wszystko to domowej roboty, co pozwala zanurzyć się w błogość słodkości. Co jest też fajne, to ilość piw lanych i butelkowanych, jest tam miejsce na jakże smaczne piwo kraftowe, na przykład cytrynowe czy śliwkowe i wszystko to od polskiego producenta z Jarocina. Miałam okazję poznać właściciela wytwórni piw, który okazał się przesympatycznym człowiekiem.

Jeśli mówię już o przesympatycznych osobach to właściciele " Karczmy Starej Stajni". To przede wszystkim ciepli serdeczni i bardzo sympatyczni ludzie. Od Marty i Piotra emanuje niesamowita miłość, którą wkładają w każdy najmniejszy aspekt prowadzenia swego rodzinnego biznesu. Pasja i radość to z pewnością ich atuty. Zawsze uśmiechnięci, zawsze gotowi do kolejnych wyzwań. Cała ekipa obsługująca restaurację, jak i hotel to uśmiechnięci serdeczni ludzie. Z pewnością będę wracała do tego miejsca nie tylko pamięcią ale i fizycznie.

Sama, z przyjaciółmi czy moją rodziną. Na terenie zajazdu można również znaleźć fantastyczny plac zabaw dla dzieci są też stawy hodowlane gdzie można zanurzyć nogi

Pokochałam te miejsce jak swoje, własne aż dziw bierze, że nie dojrzałam tam ani jednego minusa, a ogólnie każdy mnie zna że jestem dość wymagającą osobą jeśli chodzi o kuchnię i standard miejsc w których zostaję na noc. Trafiła mi się rewelacyjna pogoda, co zaowocowało pięknymi zdjęciami. Pamiątka pamiątką na ekranie telefonu czy komputera ale największą pamiątką jest to że moja przyszłość w tym miejscu będzie corocznym przeżyciem, ponieważ będę z wielką przyjemnością odwiedzała te miejsce.

Żeby tego było mało, stadnina koni, która się tam znajduje oferuje kolonie dla dzieci w różnym wieku z możliwością nauki jazdy konnej pod okiem naprawdę fachowych miłych i znający się na rzeczy instruktorów. Byłam w wielu miejscach w Polsce w tym roku podczas moich wakacji ale to miejsce pokochałam najbardziej.

AGNIESZKA M HOMA
Homa-Rickert CPAs

Oferuje bezpłatne konsultacje i doradztwo
w zakresie planowania podatków
dla osób indywidualnych
oraz dla osób posiadających biznesy.

Profesjonalna, rzetelna i poufna pomoc
w przygotowywaniu podatków
i księgowości dla osób indywidualnych
oraz dla osób posiadających biznesy

Wieloletnie doświadczenie
w przygotowywaniu podatków
i wykonywanie audytów.

Certified Public Accountant
since March 31, 2012
License #CPA.0029895

AGNIESZKA M HOMA
303.667.6814

6422 South Quebec Street
Centennial, CO 80111
E-mail: ahoma@hrcpa.co

www.hrcpa.co

6624 Wadsworth Blvd.,Arvada, CO 80003
www.europeangourmet.net

ZAPRASZAMY:
wt.-pt. 10.00-18.00
sobota: 9.00-17.00
niedz. i pon. - nieczynne

odrobina Polski w Kolorado!

European Gourmet

OFERUJEMY:

- Szeroki wyrób wędlin z najlepszego miejsca w Chicago: "Mikolajczyk-Andy's Deli"
- Świeże pieczywo, słodycze oraz inne rozmaitości europejskie
- Specjalności kuchni polskiej: pierogi, flaki oraz bigos
- Karty okolicznościowe, prasa, kosmetyki, lekarstwa i karty telefoniczne
- Tace z wędlin, serów na różne okazje

303-425-1808

Joanna Sobczak - Managing Broker, GRI

HAPPY
THANKSGIVING
THANK YOU
FROM JOANNA

Adobe Homes Realty

720-404-0272 | www.adobehomesrealty.com

ŻYCIE Kolorado
POLISH NEWSPAPER IN COLORADO

czy wiesz, że:

u nas zawsze jest
miejsce dla
Twojej Reklamy:
zadzwoń już dziś:
720-933-8819

PHOENIX
MEDICAL SUPPLY SPECIALISTS

HQAA Accredited Durable
Medical Equipment
& Medical Supplies Store
in Denver, Colorado

ZAPRASZAMY:
PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK
10.00 - 18.00
7950 E Mississippi Ave unit D,
Denver, CO 80247

We accept Medicaid
+ Medicare

303-747-7189

HQAA ACCREDITED

OFERUJEMY:

- Monitory do sprawdzania poziomu glukozy we krwi
- Monitory ciśnienia krwi i termometry
- Laski i kule, buty zdrowotne
- Chodziki & wózki inwalidzkie
- Baseny sanitarne
- Obuwie i wkładki dla diabetyków
- Odżywki dojelitowe
- Systemy podgrzewaczy na podczerwień Infrared Heating Pad Systems
- Sprzęt i materiały do nebulizacji Nebulizer Equipment & Supplies
- Transcutaneous Electrical Nerve Stimulators (TENS)
- Siedzenia i poduszki do wózków inwalidzkich i WIELE WIĘCEJ

OFERTA SPECJALNA:
witaminy, kosmetyki koreańskie,
suplementy diety,
w tym kawior z dzikiego łososia:
tylko $35/500 gr.